MARTA WĘGIEL

JAK WYTRZYMAĆ

Z

JOANNĄ CHMIELEWSKĄ

OPOWIEŚĆ NIE DA SIĘ UKRYĆ

HUMORYSTYCZNA...

Z osobistymi komentarzami

JOANNY CHMIELEWSKIEJ

2003

ŚMIECH

DZIĘKUJĘ

JOANNIE
– że wpuściła mnie do swego życia i jakoś znosi,
MOJEJ CÓRCE, JUDYCIE
– za cierpliwość,
JANUSZOWI
– za to samo, choć bez uczuć macierzyńskich,
ZWARIOWANYM JOLKOM
– za to, że są,
MAGDZIE
– choć z Warszawy,
TYM, którzy pozostali moimi przyjaciółmi, choć nie musieli (Ola, Wanda, Jacek, Piotr i Waldek),
SĄSIADCE Z PSEM,
która godzinami musiała mnie słuchać.

NIE DZIĘKUJĘ

Mojemu byłemu kierownikowi produkcji,

Pewnej koleżance z „Kroniki", której nie udzielę wywiadu,

Panu Redaktorowi z Programu II, tudzież jego szefostwu,

Producentce, od nazwiska której nazwano czynność dokonaną, kojarzącą się z lizusostwem,

I ogólnie całej TVP S.A.

Ona przyjeżdża tylko raz do roku, tak że to
można wytrzymać...

ALICJA

Dlaczego napisałam tę książkę?

Tak sobie myślę, że te olbrzymie stada ludzi kochających Joannę Chmielewską nie mają większych możliwości, by dowiedzieć się o niej ciut więcej, niż ona sama o sobie napisze...

Próbowałam tę wiedzę kiedyś tam, dawno temu poszerzyć, robiąc o niej program dokumentalny, ale życie tak się ułożyło, że dopiero potem ta kobieta stała się jedną z najbliższych mi osób. Przeżyłyśmy razem kupę przygód i chyba się przyjaźnimy.

Joanna pisze parę książek i kawałek autobiografii, mnie już nie dają kamery na filmy dokumentalne (jasne – oglądalność niższa od biesiad i kabaretów! Litości!). No to co ja mam zrobić?

Pomyślałam, że napiszę...

O Joannie – jaka jest wspaniała i nieznośna, krzyczy na mnie za jakieś posprzątane papiery, kocha zwierzęta i uczciwych ludzi, nienawidzi kłamstwa i czosnku, uprawia zwariowany ogródek, jeździ samochodem jak rajdowiec, karmi trzynaście bezdomnych kotów i chce, żebym kiedyś reżyserowała filmy z jej książek.

JOANNA: – No właśnie, może byś się wzięła do porządnej roboty...

A poza tym, i mnie wolno napisać o niej, skoro Joanna napisała o mnie. Powieść nosi tytuł „Trudny trup" i jest o telewizji, o nas i oczywiście o aferach.

Joanna przysłała mi wydruk komputerowy tekstu, żebym sprawdziła terminologię telewizyjną. Przeczytałam z dzikim zainteresowaniem i z oburzeniem zadzwoniłam do autorki.

– Słuchaj, ja rozumiem, że mam tu swoje imię, miejsce pracy, życie osobiste, ulubione piwo, ale żebym na końcu wychodziła za mąż to już przesada!

Joanna (niewinnym tonem):

– Przecież chciałaś, żeby cię nikt nie poznał...

I jak ja miałam w takich okolicznościach nie napisać tej książki?

Miałam chyba 14 lat, kiedy przeczytałam pierwszy „Chmielewską".

Tak, pamiętam, to były wakacje.

Siedziałam na balkonie hotelu w Białowieży i wydawało mi się, że rosnące obok drzewo przypomina palmę w Taorminie i że za chwilę ulizany Szwed zacznie wykrzykiwać swoje życzenia...*

To było oczywiście „Całe zdanie nieboszczyka".

Jeszcze sobie nie zanotowałam w pamięci nazwiska autorki. Ot, świetna rozrywkowa lektura... Faktycznie, wakacyjna.

Zresztą kochałam czytać.

W czwartej klasie szkoły podstawowej przeczytałam „Trylogię". Mój Tata uwielbiał Zagłobę, ja zakochałam się w Kmicicu. Razem rozsmakowaliśmy się w Żeromskim, ja nie lubiłam wojennej literatury, ale razem kochaliśmy kryminały.

Ach, ta Agata Christie...

Czytać uwielbiałam w samotności i przy jedzeniu. Nie wszyscy w mojej rodzinie to akceptowali.

Trzy momenty z mojej wczesnej młodości silnie kojarzą mi się z poznawaniem Chmielewskiej.

Pierwszy – to te wakacje z „nieboszczykiem".

Drugi – to odkrycie „Lesia".

Czytałam go, siedząc w tzw. „kucki" przed łóżkiem, gryzłam z trudem kanapkę z konserwową szynką (trudno zapomnieć coś takiego), bo bolał mnie ząb. I nagle dostałam takiego ataku śmiechu, że moja mama bardzo przerażona wpadła do pokoju, pewna, że albo szynka mi zaszkodziła (organizm nieprzyzwyczajony), albo trzeba natychmiast do dentysty.

Zastała mnie ryczącą ze śmiechu i powtarzającą:

– Nie ma różowego słonia! Ukradli! Ukradli!

Mama wycofała się delikatnie i odtąd zawsze podejrzliwie podchodziła do mojego radosnego czytania Chmielewskiej.

---

* Scena z powieści „Całe zdanie nieboszczyka". Zakochany w Joannie Szwed ze świecącą gębą uparł się przy zacieśnieniu kontaktów intymnych i swoje życzenia wykrzykiwał gromkim głosem pod hotelem.

Trzeci moment to wieczór brydżowy moich rodziców, kiedy po raz pierwszy, ich potwornie rozpieszczona jedynaczka nie jęczała, że się nudzi i nie żądała powrotu do domu. Wciśnięta w kanapę, nieprzytomna z emocji czytała powieść „Wszyscy jesteśmy podejrzani" i ze wstrętem zareagowała na propozycję opuszczenia lokalu. Podobno trzeba było iść spać.

Po latach doceniłam grę w brydża, właśnie z Joanna Chmielewską

Mijały lata.

Skończyłam liceum, otarłam się o polonistyczną olimpiadę, wylądowałam na Uniwersytecie Jagiellońskim, czytałam jeszcze więcej, niż chciałam (wybaczcie mi, lata Średniowiecza!), zrobiłam magisterium z „Doliny Issy" Czesława Miłosza, rozważałam propozycję doktoratu, wyszłam za mąż, urodziłam dziecko, poszłam do pracy do krakowskich teatrów, czyli odwaliłam duży kawał dorosłego życia. A Chmielewska „trwała" koło mnie przez te wszystkie lata...

Oczywiście, szybko nauczyłam się rozpoznawać jej styl, bohaterów, tytuły. Pożyczaliśmy sobie wśród znajomych kolejne powieści, warcząc na tego, kto czytał zbyt wolno.

Mój przyjaciel Słoń (tak nazywaliśmy Artura) skrył się przed nachalna rodziną do toalety, oczywiście z książką Chmielewskiej i na liczne łupania w drzwi reagował wysuwaniem na próg kolejnych, przeczytanych kartek. Rodzina leciała czytać, potem wracała po następne. Taka to była lektura w odcinkach.

Jeszcze inaczej załatwiły sprawę pewne siostry, Anka i Ela. Ponieważ biły się o pierwszeństwo przeczytania nowej książki, zdecydowały się czytać na zmianę i na głos.

JOANNA: Kiedy moja matka czytała całej rodzinie na głos „Cafe pod Minogą", drukowane w odcinkach w „Przekroju", czyniłam niezwykłe sztuki, żeby dorwać „Przekrój" wcześniej i przeczytać sobie. Później już mogłam spokojnie słuchać, z błogim uczuciem na twarzy i wewnątrz. Czytania na głos bez wcześniejszej znajomości tekstu nie znosiłam, gotowa byłam uciec z domu, zatkać sobie uszy, zamknąć się w łazience. Zawsze lubiłam czytać sobie, do czytania byłam i jestem sobek absolutny, nic z nikim, tylko sobie!

To były czasy, kiedy jeszcze Chmielewskiej nie było w księgarniach. Lataliśmy po stoiskach na giełdzie książek, wyszukując nowe tytuły.

Dla mnie lektura tych powieści stała się sposobem na chandrę.

O, właśnie, już wtedy przejęłam wiele słów specyficznych dla Chmielewskiej i zostały na zawsze w moim życiu. Tak jak sposób podejmowania decyzji przez podzielenie kartki na pół i określenie „za i przeciw"[*].

Czytałam te książki wielokrotnie i przecież wiedziałam, jak się kończą, a jednak

[*] „Krokodyl z kraju Karoliny". Sposób na chandrę przez wypisanie w dwóch rubrykach, w punktach, wszystkich rzeczy złych i dobrych. Aby pomogło, powinno być więcej dobrych niż złych...

potrzebowałam tego humoru, tej niezależności bohaterki, tych zwariowanych ludzi... (wtedy jeszcze nie wiedziałam, że oni istnieją i że ja ich poznam).

Jak sobie wyobrażałam Joannę – główną bohaterkę większości powieści?

Zwariowana, pełna wdzięku blondynka, super nogi i poczucie humoru, z podejściem do facetów, którego jej zazdrościłam, specyficzna jako matka, oddana i lojalna jako przyjaciółka, na wiecznej diecie odchudzającej...

No, a ten pan z pokoju 336...* Ileż razy myślałam o nim, czekając na telefon od jakiegoś faceta?

JOANNA: Wyobrażenia o mnie zawsze mnie interesowały, każdy może mieć inne... Moja teściowa, kiedy mnie poznała, powiedziała: „Inaczej sobie ciebie wyobrażałam", i nigdy się nie dowiedziałam, jak.

Parę razy mignęła mi twarz Joanny Chmielewskiej w jakichś wywiadach telewizyjnych, zapamiętałam niesamowicie „temperamentną" kobietę, chyba się o coś złościła i o coś miała pretensje...

Miałam sobie to kiedyś przypomnieć z rozrzewnieniem.

Rozpoczęłam pracę w telewizji.

Postaram się oszczędzić szczegółów na temat tej instytucji, ale przepraszam z góry, jeśli czasem mi się coś wyrwie, np. o działalności jednej z Agencji...

Temat telewizji będzie się jednak pojawiał, bo jakby od pewnego czasu wraz z tą instytucja wlazłam z butami w życie Joanny Chmielewskiej i nadal w nim tkwię.

Ale od początku.

Stałam się dziennikarką oddziału regionalnego. Nie ominął mnie pucz w Moskwie ani zawody spadochronowe, ani strajk sióstr PCK, z którym nie dałam sobie rady...

Pamiętam, że kiedy przywiozłam nagrany materiał, pełen wrzeszczących bab, właściwie nic do zmontowania, redaktor Ossowski wysyczał:

– Marta, przysięgam ci, że już nigdy w życiu nie pojedziesz na strajk sióstr PCK!

Słowa dotrzymał, mało tego, on naprawdę coś z tego zmontował!

A podczas moskiewskiego puczu właziłam przez płot z dziennikarzem RMF-u do ambasady rosyjskiej i nie wiem dlaczego, upierałam się, żeby ambasador udzielił mi wywiadu po rosyjsku, skoro świetnie mówił po polsku.

No więc, różnie bywało.

W końcu ustaliło się, że jestem „ta od kultury". Na szczęście, bo polityki i biznesu bałam

* Bohater powieści „Klin", zamieszkały w hotelu w pokoju 336, niechętnie nawiązujący kontakt telefoniczny z Joanną, odpowiedzialny za chęć szukania „klina", czyli innego osobnika płci męskiej. Do tych samych celów, rzecz jasna.

się zawsze, zero zmysłu do interesów i namolny zwyczaj mówienia prawdy.

Teraz już trochę lepiej się orientuję w polityce biznesu, bo oglądam przesłuchania Komisji Śledczej do zbadania tzw. afery Rywina...

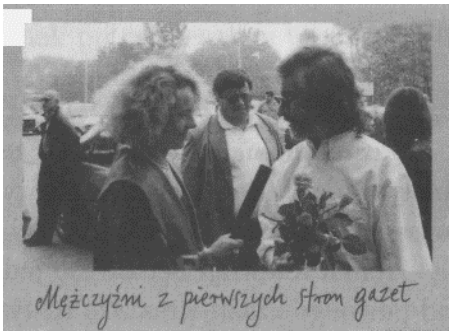

Po okresie terminowania w „informacjach", wyszłam na świeże powietrze i zaczęłam robić programy dokumentalne, reportaże, wywiady (Steven Spielberg i inni), filmy... Czasem też bywało śmiesznie, np. film o Tadeuszu Bradeckim powstawał metodą niekoniecznie rozpowszechnioną w telewizji, mianowicie siadywaliśmy wieczorami przy drobnej wódeczce i nagrywałam rozmowy. Tadeusz o tym oczywiście wiedział, ale nie rozpraszał się widokiem kamery. Potem zmontowałam „radio" i powtórzyliśmy „setki"* do kamery.

Mój przyjaciel Waldek, reżyser, twierdzi, że to był mój najlepszy film...

Po kilku realizacjach (mówiąc językiem Joanny Chmielewskiej) przyszedł mi do głowy szatański pomysł! Film dokumentalny o znanej polskiej pisarce.

Zaczęło się od promocji książki Chmielewskiej w Krakowie. Telewizyjny news do zrobienia przypadł mojej koleżance z Kroniki, zresztą też zakochanej w książkach Joanny. Ależ jej zazdrościłam! Wróciła z dość głupią miną.

– Opowiadaj – zażądałam, zaciekawiona do granic możliwości.

– Opieprzyła mnie na widok kamery, powiedziała, że nikt jej nie uprzedził, że miało być na gębę, a nie na twarz, i że gdyby wiedziała, poszłaby do fryzjera.

– A co to znaczy „na gębę"? – zainteresowałam się gwałtownie.

– Do radia – odpowiedziała i poszła montować.

JOANNA: Żartujesz, nie wiedziałaś, co to jest „na gębę?".

Zorientowałam się, że pani Chmielewska prezentuje niezły temperamencik i medialne spotkania z nią muszą być przeżyciem niezwykłym.

Zresztą potem się okazało, że sobie to wywróżyłam i nieraz miałam ochotę uciec na drzewo od Joanny Chmielewskiej...

Kiedyś zrobiłam żart mojemu koledze, dziennikarzowi Telewizji Kraków.

Zbyszek miał przeprowadzić z Joanną krótki wywiad. Bardzo przejęty przyleciał do mnie przed nagraniem.

– Martusia – zażądał – opowiedz mi o niej, wiesz, o co ją zapytać, żeby mnie nie pogryzła?

* Język filmowy; „radio" = ścieżka dźwiękowa, tzw. „setki" to 100%, czyli dźwięk i obraz jednocześnie.

Coś w środku mnie skusiło i niewinnym tonem powiedziałam:

– Najbezpieczniej będzie, jak ją zapytasz, skąd bierze pomysły do swoich książek?

Zbyszek popatrzył na mnie ciut powątpiewająco, ale pojechał na zdjęcia i grzecznie zadał to pytanie.

Byłam przy tym i, mówiąc szczerze, odczułam w środku pewne wyrzuty sumienia, patrząc na minę Zbyszka, słuchającego odpowiedzi.

JOANNA: To była kompletna obrzydliwość, taki żart!

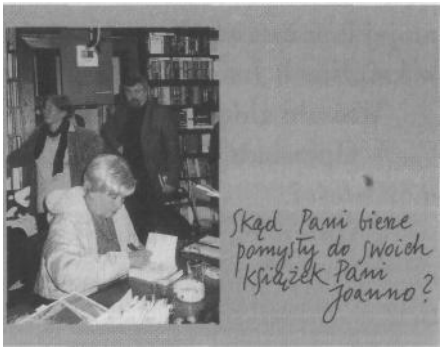

Oczywiście, zaraz wyjaśniłam, że to ja go napuściłam. Bo Joanna zaczęła już wrzeszczeć, co sobie myśli o głupich dziennikarzach.

Ona faktycznie nie znosi takich pytań i, jak twierdzi, po to napisała „Autobiografię", żeby nikt się już nie pytał o istnienie Lesia, Alicji, ciotek i gachów.

Mam nadzieję, że Zbyszek wybaczył mi tę konfuzję.

Lubiłam, muszę przyznać tamte czasy...

Dużo się działo, fajna atmosfera, porządni ludzie, liczyła się dobra praca, rzetelność, umiejętności dziennikarskie, profesjonalizm, szacunek dla drugiego człowieka.

A teraz? Jak w takiej bajce...

Za siedmioma górami, za siedmioma lasami była sobie Telewizja „W Lesie".

Na początku jej szefem został Lew (król zwierząt, a nie rozsławione ostatnio imię męskie) i wszystkie zwierzątka były zadowolone, uwielbiały wielkie przedstawienia i reportaże z życia. Wierzyły nawet w prognozę pogody i w to, że na skraju lasu pobiły się dwa niedźwiadki... Ale potem stary Lew odszedł i pojawił się Wilk.

Nikt nie wiedział dlaczego on, zwierzątka go nie chciały, ale okazało się, że zapanowały inne obyczaje i nikt nie bierze pod uwagę głosu mieszkańców lasu.

Wilk nie znał się na telewizji, natomiast dobrze na intrygach i knowaniach, na ważnym stanowisku zatrudnił Lisicę, która nigdy nie lubiła szkół i kształcenia, za to uwielbiała wykorzystywać władzę i znajomości. Nie powstawały już przedstawienia i reportaże, znajomi Wilka i Lisicy opanowali antenę.

A wokół Lisicy dzielnie kręciła się Norka, tak dzielnie, że w nagrodę została producentką...

Słynne powiedzenie: „Babciu, babciu, dlaczego masz takie duże zęby?" zostało zastąpione zdaniem: „Szefowo, jak ty dziś pięknie wyglądasz...", określane jako „norkowanie..."

Ta bajka nie ma dobrego zakończenia, może kiedyś do lasu wróci Lew, a z nim

prawdziwa telewizja...

Serdeczne pozdrowienia dla Pana Kazimierza Kutza!

Z myślą o filmie dokumentalnym z Chmielewską w roli głównej zaczęłam jeździć samochodem, prasować ubrania i sprzątać mieszkanie.

Tak jest zawsze na początku produkcji – wymyśleć oś fabularną, poukładać wątki, wybrać rozmówców – i ułożyć scenariusz.

Wiedziałam, że chcę wykorzystać jakiś motyw z jej książki. Najprościej by było kogoś zamordować, pomysł dobry, tylko realizacja napotykała pewne problemy.

Wreszcie wymyśliłam studnię, motyw poszukiwania, odkrywania jakieś strasznej tajemnicy, który łączył się również z wątkami rodzinnymi, co dawało pretekst do autobiograficznej opowieści.

Okropnie się z tego tłumaczę, bo się nasłuchałam przez te wszystkie lata, jak to ja, megiera, kazałam Joannie kopać studnię w filmie, a gwoli sprawiedliwości, kopały chłopy z pobliskiej budowy, za 10 złotych. Ona się chyba męczyła na nowo podczas każdego oglądania filmu...

JOANNA: Naprawdę, do tej pory nie wiem, po jaką cholerę ona mi kazała kopać tę studnię!

Napisałam więc szkic scenariusza... Wypadało zawiadomić przyszłą bohaterkę o moich planach...

Zdobyłam telefon do pisarki Joanny Chmielewskiej, wzięłam głęboki oddech i wykręciłam numer do Warszawy.

Przywitała mnie uprzejmie, aczkolwiek z rezerwą, gdy dowiedziała się, że jestem „pani z telewizji".

– Chciałabym zrobić o pani film – wypaliłam.

Przez chwilę panowała cisza, a potem niski głos odpowiedział spokojnie:

– Dobrze, ale jak schudnę.

Zgłupiałam totalnie. Spodziewałam się pytań, wątpliwości, oporów. A tu taki kategoryczny warunek. I co ja mam zrobić? Wymyślić dietę – cud?

Przypomniał mi się „nieboszczyk" i zaproponowałam:

– No to trzy miesiące w piwnicy bez szydełka, zdjęcia będą we wrześniu.

Nikt normalny by tego nie zrozumiał, ale Chmielewska chwyciła w lot i głos jej się zdecydowanie ocieplił.

– Niech pani przyjedzie – powiedziała.

Nie będę teraz tłumaczyć tych słów, które mi wtedy wyskoczyły[*], zainteresowanych odsyłam do książki „Całe zdanie nieboszczyka” i już.

Jechałam do Warszawy w towarzystwie moich ówczesnych szefów, bardzo życzliwych mojemu projektowi.

Ale pod koniec podróży kazali mi się uspokoić, twierdząc, że na razie Chmielewskiej mają dosyć. Byłam podobno okropnie monotematyczna, chaotycznie coś opowiadałam, miny mieli dość niepewne i nie wiedzieli, czy Lesio to przypadkiem nie Alicja i odwrotnie.

Wysiadłam z samochodu i w sklepie spożywczym nabyłam piwo, napój kultowy, jak się okazało.

Potem poznałam zawartość lodówki Joanny Chmielewskiej...

Posilić się u niej jest raczej trudno, sama zainteresowana twierdzi, że to z ciągłej manii odchudzania się. Jak nic nie ma, nie korci. Ja po cichu sobie myślę, że trochę z wrodzonej niechęci do prowadzenia gospodarstwa domowego. Jak te biedne dzieci wyżywiły się przy takiej matce? A chłopy, jak marzenie!

JOANNA: Czasem do jedzenia coś miewałam... Jak mi ktoś przyniósł po schodach...

Za to w lodówce zawsze jest zimne piwo. No, teraz to również pożywienie dla kotów, a jak ja przyjeżdżam, to także dla mojego psa.

Ostatnio, gdy się zapowiedziałam, Joanna obiecała, że będziemy piekły kiełbaski w kominku. Fajnie, uwielbiam.

Powiedziałam, że pozałatwiam służbowe sprawy i zrobimy ognisko w kominku. Cezar – mój pies – został z Joanną.

Pojechałam na spotkanie z producentem filmowym i wracałam okropnie głodna.

Joanna i pies przywitali mnie w progu, ogromnie zadowoleni z życia.

– Wiesz, porządna była ta kiełbasa, Cezar tak powiedział, miał rację, trochę spróbowałam – oświadczyła mi na wejściu.

Pełna najgorszych przeczuć popędziłam do lodówki. Tak, po kiełbasie pozostał tylko zapach.

– Musiałam mu dać jeść, żeby nie tęsknił – tłumaczyła Joanna.

Zostawili mi łaskawie udka z kurczaka.

No dobrze, wracam do mojej pierwszej wizyty u Joanny.

[*] „Całe zdanie nieboszczyka”. Uwięziona w lochu Joanna odkrywa, że dłubiąc szydełkiem w ścianie, może przekopać się na zewnątrz. Tak też czyni i choć to trochę trwa, wychodzi na wolność. Dość wychudzona...

Wtedy mieszkała jeszcze przy ulicy Dolnej, na słynnym trzecim piętrze, gdzie wnieść coś, do jedzenia i nie tylko, nie było lekko, łatwo i przyjemnie. Zrozumiałam potem, skąd w niej taka nienawiść do schodów...

Zasiadłyśmy na kanapie, a ja rozglądałam się wręcz nachalnie. Niesamowite ilości sznurów bursztynu, osobiście zbieranych i czyszczonych, kompozycje z suchych kwiatów, masa książek i papierów, i słynna morda namalowana przez Lesia[*].

Spożywałyśmy piwo, Joanna czytała scenariusz. Nie wiem, czy go przeczytała w całości, bo bez przerwy komentowała jakiś kawałek i rozmowa stawała się sagą rodzinno-towarzysko-literacką.

Chyba długo to trwało, bo moi zaniepokojeni szefowie grozili mi telefonicznie, że mnie ze sobą nie zabiorą, jeśli natychmiast nie wyjdę. A ja chętnie bym i została, bo nagadać się do syta było bardzo trudno.

Pamiętam, że spóźniona okropnie gnałam taksówką na Woronicza, a za mną drugą taksówką jechał mój płaszcz, którego zapomniałam, a litościwa Joanna wysłała go w ślad za mną. Na szczęście, bo to mój ukochany, pamiątkowy prochowiec po dziadku.

Miałam zgodę na film, na te kopane studnie, na wyjazd do Alicji do Danii, spotkania z przyjaciółmi i rodziną.

Oczywiście, Joanna doskonale sprawdziła moja kompetencję. Dokładnie, acz subtelnie wypytała mnie o znajomość jej książek. Ale nie dałam się zagiąć!

JOANNA: Była to jedna z przyczyn, dla których zaaprobowałam koszmarne pomysły Martusi. Jeśli już ktoś tak się umęczył, żeby nauczyć się moich książek na pamięć, coś mu się od życia należy! Poza tym zaprezentowała się jako ta, która czyta, a nie jak taka jedna, co przyszła na wywiad i zaczęła od pytania: „Co pani właściwie pisze?”

Oczywiście, moja ukochana książka to „Lesio”.

I pewnie nie muszę wyjaśniać, dlaczego. Natomiast przyznam się do swojego wielkiego marzenia. Powolutku piszę scenariusz filmowy z tej książki, wspominając o tym Joannie z dużą ostrożnością.

Ona bowiem, po licznych, dość pechowych próbach adaptacji filmowo-telewizyjnych, oświadczyła, że „Lesia” da sobie spieprzyć tylko za bardzo duże pieniądze. Ja takowych jeszcze nie posiadam, więc się nie wychylam za bardzo, ale scenariusz sobie piszę.

Joanna zresztą dość długo twierdziła, że umarł odtwórca głównej roli, czyli Bogumił

[*] O tej mordzie napisała Joanna w przedmowie do „Lesia”. Słynne dzieło plastyczne z „Wszyscy jesteśmy podejrzani”, autorstwa Leszka, też wielce ją przypomina. Ja widziałam i gwarantuję, że robi wrażenie.

Kobiela, ale już ją przekonałam, że Zbyszek Zamachowski jest na Lesia idealny, że film będzie utrzymany w konwencji i scenografii lat sześćdziesiątych i zachowany zostanie dowcip słowny i sytuacyjny z tamtych lat...

JOANNA: Aleś się uczepiła tego Lesia, zrób wcześniej coś innego. O, „Lądowanie w Garwolinie..."

Tak a propos... gdyby pojawił się ktoś o dużych pieniądzach, zainteresowany produkcją „Lesia", zapraszam serdecznie...

Film o Joannie Chmielewskiej trwa niecałą godzinę, materiały robocze to 6 godzin nagrań, zdjęcia w Tończy[*], Warszawie, Kopenhadze, nad morzem, plenery i wnętrza..

I niesamowita galeria postaci!

Na początku Joanna stanowczo oświadczyła:

JOANNA:

„Ja się zgodziłam na ten cały cholerny film wyłącznie dla świętego spokoju, ponieważ truliście mi tak potwornie, że uznałam za większy sens odwalić tę całą robotę, nie narażając się, że będę miała zmarnowany rok, dwa lata, a może resztę życia. Jak z jednym gachem..."

Później miałam się dowiedzieć, jak to było z tym gachem, wtedy dość skutecznie mnie zamurowało i tylko pomyślałam, że to ja jestem ta, co truła i oto wystąpiłam w liczbie mnogiej...

Nie mogłam się też oprzeć pokusie i poprosiłam Krzysia, dźwiękowca, aby nagrał tekst automatycznej sekretarki w telefonie Joanny Chmielewskiej:

„To ja, ale nie ma mnie w domu, po długim piknięciu proszę zostawić wiadomość."

To piknięcie zrobiło swoje.

Cała moja ekipa była pod dużym wrażeniem bohaterki filmu.

Chwilami wpatrywali się w nią w dużym oszołomieniu, często z uwielbieniem, a raz nawet jeden z nich posunął się do niebanalnych oświadczyn:

„Kupię dla pani wielki dom, z wieloma oknami..."

Na co usłyszał odpowiedź:

„No to pewnie będzie Wawel..."

Zaczęło się od rodziny. Bardzo byłam ciekawa bohaterek „Bocznych dróg"[*], zwariowanych, ale pełnych uroku bab.

JOANNA:

„To była rodzina z ogromną dominacją kobiet (...) Wszyscy mężczyźni byli łagodnego

[*] Tończa - miejscowość rodzinna Joanny Chmielewskiej, opisana w „Bocznych drogach" i „Studniach przodków". To właśnie tam autorka własnoręcznie rozkopała dół na użytek mojego filmu

[*] Głównie chodzi o ciotki Lucynę i Teresę oraz mamusię Joanny Chmielewskiej.

serca, łagodnego usposobienia, a baby były awanturnice, co tu gadać, miały silniejsze indywidualności. One wcale nie były wariatki, te wszystkie baby, były mniej więcej normalne, tyle, że miały dużą dozę fantazji i niekiedy tej fantazji dawały ujście, po prostu (...) Coś którejś z nich wpadło do głowy, więc bez sekundy zastanowienia to realizowały, nie bacząc na tzw. konwenanse. Wszystkie, z całą pewnością miały poczucie humoru, jeszcze najprzyzwoiciej usiłowała się zachowywać Teresa, która miała w sobie odrobinę taktu i umiaru. Ale, ogólnie biorąc, nietaktowna była cała rodzina, ze mną włącznie.

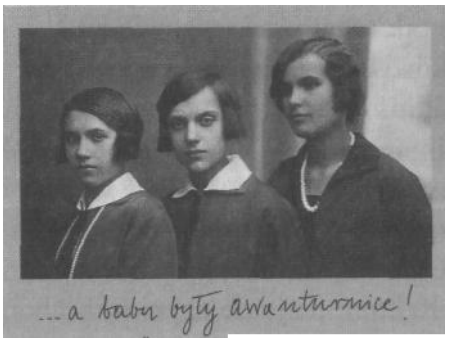

(...) Obojętność do konwenansów wzięłam z Lucyny, po mojej matce przejęłam kompletny brak poczucia taktu i nienawiść do załatwiania czegokolwiek."

A oto stosunek Joanny Chmielewskiej do tzw. prowadzenia domu:

JOANNA:

„Ja umiem gotować. Jeśli już coś ugotuję, to to jest całkiem dobre do jedzenia, nadaje się w pełni. Ale to są roboty zanikające. Nienawidziłam tego. I tak, z jednej strony, marząc o tym, że ja będę taka idealna pani domu, takie cudo zupełne, tu obiadek ugotowałam, tu mąż i dzieci, tak... Z drugiej strony, nie znoszę tego, bo przecież pozmywam, żeby zaraz pobrudzić, ugotuję, a oni zaraz zjedzą. No, bzdura, to do niczego!"

Na początku była architektura i, oczywiście, Lesio.

Nie ukrywam, że jestem pod osobistym wrażeniem Lesia. Uroczy, z cudownymi monologami artysta, autor świetnych obrazów. Sama kupiłam od niego jeden, różniący się znacznie od owej mordy, wiszącej na ścianie u Joanny. Zaprosił nas na zdjęcia do domu, ręce mi się rwały, by i tu posprzątać, ale się opanowałam. Natomiast wykonałam rosołek, co zostało przyjęte z pełną galanterii wdzięcznością. Dla odmiany, rozkochanym wzrokiem wodziła za nim Teresa, moja ówczesna kierowniczka produkcji...

W filmie starałam się tak montować wypowiedzi Joanny i innych uczestników, by stworzyć wrażenie dialogu bohaterki z przyjaciółmi.

LESIO:

„Pracowaliśmy przy sąsiednich rajzbretach. Rajzbret to jest określenie specyficzne dla zawodów architektonicznych i wszystkich tych, które mają do czynienia z tzw. techniką budowniczą. Może to niładnie brzmi, ale tak jest. Rajzbret może dzielić i może łączyć. Nas dzielił.

JOANNA:

Architektura mi się szalenie podobała, i studia i później praca. Boże drogi, po studiach człowiek tyle wie o projektowaniu, co kot napłakał. Tak naprawdę, to praca w wykonawstwie

budowlanym dała mi pełną wiedzą o zawodzie. Razem wziąwszy, pracowałam 12 lat w Polsce, potem jeszcze te 3 lata w Danii, ale po pracy w wykonawstwie pracowałam jeszcze tylko 4 lata w biurze projektów. Ale wtedy, przepraszam bardzo, nie było zleceń. Więc, gdybym ja dostawała do roboty coś sensownego, być może, w tym zawodzie zostałabym.

LESIO:

Chyba się nawet na początku nie bardzo lubiliśmy, a może i później troszeczkę... Ale to było coś fajnego. To była trochę zwariowana pracownia, gdzie wszyscy byliśmy i razem, i osobno.

JOANNA:

Lesio to była kluczowa postać. Trzy lata pracować z Lesiem w jednym pokoju, stół obok stołu! Nie można było o nim nie napisać.

LESIO:

Ja jednak naprawdę chyba jestem Lesio. Tak, dzisiaj. Ale jestem i punktualny, i obowiązkowy, naturę mam właśnie taką, tego nie można zmienić. Ja się z tego cieszę. Przecież życie pokazało jedną rzecz. Z różnych, najdziwniejszych opresji wychodziłem boską ręką, mogę tak nazwać, inaczej nie. Tak, boską ręką. A przecież jestem podświadomie taki sam, jak byłem wtedy, nic się nie zmieniłem, oprócz pewnego rodzaju uporządkowania pewnych rzeczy. Ja chyba naprawdę jestem taki, jak w tym przedsłowiu do książki, która Joanna Chmielewska napisała. „Po prostu, prawie dokładnie taki sam..."

A kiedy podczas wywiadu zadałam Lesiowi pytanie, czy był zakochany w Joannie, z duża mocą oznajmił: „Nie!"

Jakoś mu niezbyt uwierzyłam...

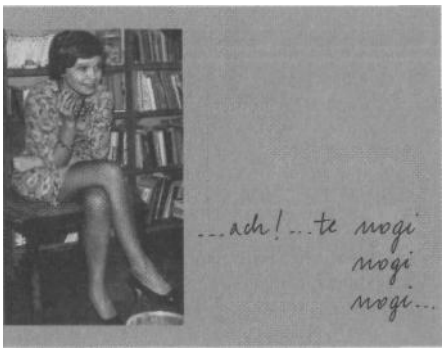

JOANNA: Może i miał zamiar się podkochiwać, ale mu przeszło. Ja byłam okropnie niesympatyczna, chyba się i awanturowałam, bo tak mnie denerwował tą swoja melancholią, wygłaszaniem smętnych monologów...

Dlaczego Joanna Chmielewska zaczęła pisać książki?

JOANNA:

„Lubiłam pisać, po prostu. To jest też jakiś rodzaj ekshibicjonizmu, ponieważ, jeśli mnie się coś podobało, coś wymyśliłam, to chciałam tym obdzielić większą część społeczeństwa, no bo dlaczego ja mam sama tutaj, jak ten sobek z tego czegoś się cieszyć, niech te ludzie też mają z tego trochę uciechy. A pisać umiałam. Czyli łatwość tego pisania, no i chęć obdarzenia ludzkości tą bezcenną wartością, która wszak z mojego umysłu genialnego wychodzi, spowodowała, że ja pisałam..."

Pojechaliśmy do Danii, do uroczego miasteczka Birkerod, by poznać Alicję...

Byłam, oczywiście, ogromnie jej ciekawa, postać z moich ukochanych książek: „Wszystko czerwone", „Krokodyl z Kraju Karoliny", „Wszyscy jesteśmy podejrzani" – roztargniona, granitowo rzetelna i uczciwa, do bólu lojalna przyjaciółka, a do tego jeszcze nieziemska wariatka. Wszystko to okazało się prawda.

W pierwszy wieczór poczęstowała nas irish coffee, przeszła z wszystkimi na „ty", zakazała sprzątać i zaczęła kłócić się z Joanną.

Pomyślałam wtedy:

– Po cholerę zostawiliśmy kamerę w hotelu!

Ale, oczywiście, nie miałam czego żałować, na drugi dzień była istna uczta dla realizatora filmu dokumentalnego: live.

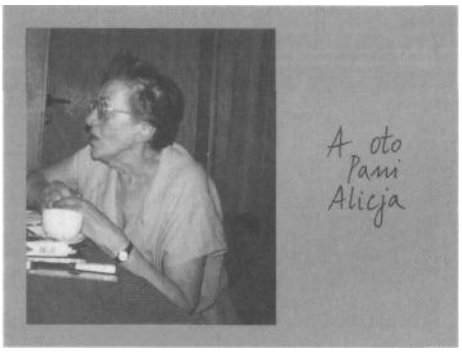

ALICJA (o Joannie):

– „Ona przyjeżdża tylko raz do roku, tak że to można wytrzymać..."

I od razu zaczynają się przekomarzania, co np. podsłuchaliśmy w ogródku:

ALICJA:

– Słuchaj, Irena, Joanna, czy jak ci tam...

JOANNA:

– Może być „panno Basiu..."*

ALICJA:

– Jak czytałam po raz drugi to twoje „Wszystko czerwone", to ja nic, tylko siedzę i tylko zapraszam dziewięć osób, żeby u mnie mieszkało...

JOANNA:

– Czyś ty zgłupiała, czy ty czytać nie umiesz?

ALICJA:

– Umiem!

JOANNA:

– To dziwię ci się. Bo przecież ciebie bez przerwy nie ma w domu, bo jak głupia jeździsz, latasz, załatwiasz, chodzisz do pracy...

ALICJA:

– Nie! Wy robicie zakupy, wy gotujecie, ta sprząta, ten kopie...

JOANNA:

– Nie denerwuj mnie, jak możesz robić zakupy, jak cię nie ma w domu?

ALICJA:

– Tyś mnie zdenerwowała tą książka! Nic, tylko zapraszam, siedzę i nic nie robię!

* Irena - tak naprawdę ma na imię pisarka. Joanna Chmielewska to pseudonim literacki.

JOANNA:

– A nie zauważyłaś, że cię w ogóle nie ma, bo załatwiasz? Czytaj porządnie, bo jak czytasz co piąte zdanie, to ci może głupio wyjść!”

No ale potem, oczywiście udzieliły rzetelnego wywiadu o sobie nawzajem:

JOANNA:

– „Kim jest dla mnie Alicja? Trudno powiedzieć, czymś w rodzaju irytującego bóstwa. Bo dla mnie Alicja jest na pierwszym miejscu, jako przyjaciółka, z pewnością. I kłócę się z nią, awanturuję, oczywiście, wymyślamy sobie wzajemnie, ja jej także. Natomiast do końca życia i jeszcze troszkę dłużej nie zapomnę, że wyświadczyła mi najbardziej istotną życiową przysługę... Wywlokła mnie zza tzw. żelaznej kurtyny, to ona mnie wywlokła z Polski w latach sześćdziesiątych i uczyniła to kompletnie bezinteresownie, sama nie mając pieniędzy...

ALICJA:

– Bardzo lubię, jak przyjeżdża, bardzo się ucieszyłam, że miała teraz być. Ale denerwuje mnie trochę czasami, jak coś czytam z jej książek o mnie. Bo ja się z tym nie zgadzam, ona sobie fantazjuje, potem mówi, że tak było. Ale ona ma większą, albo taką samą sklerozę jak ja...

JOANNA:

– Z kimś się osiąga natychmiastowe porozumienie albo nie. I są np. osoby, do których mówi się cokolwiek, używając lekkiej np. przenośni. Osoba to rozumie albo kompletnie odwrotnie, albo mówi: „Proszę? Co?” Więc pani powtarza, ktokolwiek, wszystko jedno, mogę ja powtarzać. „Ja nie rozumiem” – mówi osoba, albo coś w tym rodzaju. To jest nie do wytrzymania! No, nie da rady z tym kimś osiągnąć porozumienia. I są osoby, do których mówi się jedno słowo, osoba natychmiast chwyta i odpowiada dalszym ciągiem niejako.”

A oto próbka takiego „dalszego ciągu”:

ALICJA:

– „W codzienności nie zgadzamy się, jeśli chodzi o alkohol, zgadzamy się, jeśli chodzi o jedzenie...

JOANNA: Odwrotnie, przejęzyczyła się! Nie zgadzamy się, jeśli chodzi o jedzenie! Ja nie cierpię kartofli z sadzonymi jajkami, a ona ryb. Alkohole miałyśmy wspólne, a sklerozę możemy mieć obie!

JOANNA:

– „Przypominam ci, że nigdy się nie pokłóciłyśmy i wszystkim przypominam...

ALICJA:

– My się nie kłócimy...

JOANNA:

– My się kłócimy wielokrotnie...

ALICJA:

– Nie, my dyskutujemy...

JOANNA:

– Ale nigdy na tle codzienności. A mieszkałyśmy, zauważ, w jak uciążliwych warunkach. I kto w uciążliwych warunkach zdoła się nie pokłócić na tle tego, co się dzieje? Położyłaś paczki na krześle, no proszę bardzo, niech leżą. Nie mam gdzie usiąść, nie szkodzi...

ALICJA:

– Usiądź obok...

JOANNA:

– Grzecznie zapytałam, czy mogę je zdjąć... I zobacz, tu nigdy nie było między nami kontrowersji. Natomiast, siedząc wzajemnie na swoich paczkach, kłóciłyśmy się potwornie np. o politykę albo o Pawełka[*].

ALICJA:

– A bo ja się mogę przystosować do wszystkiego i ty też. Skoro ja się przystosowałam do ciebie...

JOANNA:

– I wzajemnie. Natomiast nie mogę się przystosować do twoich głupich poglądów na tematy uboczne.

ALICJA:

– A ja do twoich głupich poglądów!

JOANNA:

– I na ten temat się kłócimy.

ALICJA:

– A, już wiem, denerwują mnie twoje przesądy, to mnie denerwuje, bo wydawałoby się, że jesteś inteligentna...

JOANNA:

– Pukać w niemalowane...?

ALICJA:

– Nie, czerwone majtki, żeby wygrać na wyścigach.

JOANNA:

– Och Boże, bo jest udowodnione, że żółte majtki szkodzą. I białe mercedesy.

ALICJA:

– A kto ma białego mercedesa?

---

[*] Postać opisana bez cienia miłosierdzia w powieści „Harpie" jako Marcinek. Leniwy truteń obdarzony ciepłymi uczuciami Alicji. Ona występuje w „Harpiach" jako Felicja i dlatego nie wolno jej było o tej książce mówić. Ale podobno i tak ktoś jej ją wysłał...

JOANNA:

– Jeżeli pojedziesz na wyścigi taksówką pt. biały mercedes, mowy nie ma, żebyś wygrała. Natomiast zielony opel jest dobry.

ALICJA:

– No widzisz. A są takie baby, znam jedną, całkiem inteligentna babka, ale ona znowu patrzy, kto jest kiedy urodzony i spod jakiego znaku...

JOANNA:

– No jak to, ty nie wierzysz w znaki?

ALICJA:

– Kretynka! Głupia jesteś jak but!

JOANNA:

– W astrologię nie wierzysz?

ALICJA:

– Nie, nie wierzę.

JOANNA:

– No, ale teraz jest udowodnione, że to ma swój wpływ...

ALICJA:

– Przez kogo udowodnione? Przez „Kobietę i Życie”? Czy przez takie inne...?

JOANNA:

– Nie czytam „Kobiety i Życia”, więc nie wiem...

ALICJA:

– Ale powinnaś pisać do niej...

JOANNA:

– Nie mogę, musiałabym chodzić do kiosku z trzeciego piętra, tam i z powrotem, żeby gazetę kupić.

ALICJA:

– A nie może przyjść na górę?

JOANNA:

– „Kobieta i Życie” do mnie na górę nie przyjdzie...

ALICJA:

– Dlaczego?

JOANNA:

– Bo ona nie chodzi...”

JOANNA: Ona się naprawdę zainteresowała, kto ma białego mercedesa...

Nie mogłam się oprzeć i zacytowałam ten dialog niemal w całości.

Do dziś pamiętam miny mojej ekipy i walkę dźwiękowca, by nie wybuchnąć śmiechem. Chłopcy, zakochani już totalnie w Alicji, łazili za nią i pytali, jak by jej tu pomóc w domu albo w ogródku. Powymieniali, jak pamiętam, uszkodzone żarówki i jeszcze trochę, a skopaliby ogródek.

Zresztą Alicję kochają wszyscy i faktycznie lgną do niej na potęgę.

Może i jest coś w tym zapraszaniu dziewięciu osób?

A teraz ciut-ciut niedyskrecji, czyli słów parę o mężczyznach w życiu Joanny Chmielewskiej.

Specjalnie wmontowałam do filmu jej wyznanie:

„Mężczyzn w życiu miałam olbrzymią ilość...", dołożyłam scenę z filmu „Lekarstwo na miłość" i dopiero potem wróciłam do zasadniczego tematu. I Joanna wyjaśniła:

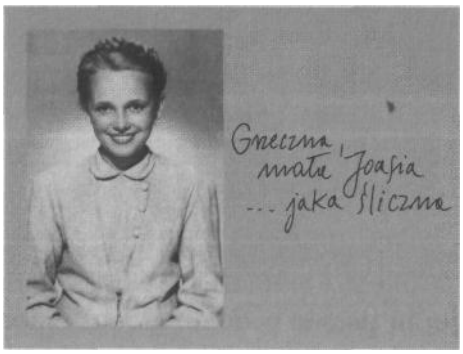

„...z bardzo prostego, zachwycającego powodu. Ponieważ poszłam na studia na Politechnikę, kiedy to jeszcze był prawie męski zawód i dziewczyny stanowiły ledwo niewielki procent, góra dwadzieścia. A reszta to byli mężczyźni. W pracy to samo. W pracy znałam olbrzymią ilość mężczyzn, to byli moi koledzy. W przeciwieństwie do takiej księgowości, gdzie nie uświadczysz chłopa, a tylko same baby. I, dzięki temu, miałam olbrzymią ilość kolegów, przyjaciół, no powiedzmy, wielbicieli także.

Z tajemniczych powodów podobałam się we wczesnym dzieciństwie różnym chłopakom. Trochę mnie to dziwiło. Co prawda, chciałam się podobać, być zachwycająca, cudownie piękna, wielbiona i tak dalej, ale, między nami mówiąc, musiałam mieć trochę realizmu w sobie, bo, jak ja się im tak strasznie podobałam i kochali się we mnie na śmierć i życie, to się trochę dziwiłam.

O mężu nigdy nie pisałam, ale muszę przyznać, że był on idealnym mężem, uciążliwym, trudnym, atrakcyjnym bardzo... ale idealnym mężem do wtorku, a w środę się ze mną rozszedł na zawsze.

Trafiłam na Diabła. To był tzw. czarujący łajdak. On miał wdzięk, pomijając to, że przystojny facet, marzenie większości kobiet, czarny, z niebieskim oczami, przeuroczy. I ten wdzięk załatwiał wszystko. Charakter miał koszmarny, był niedobrym człowiekiem, złośliwym, był w dodatku skłonny do wykorzystywania każdego, całego swojego otoczenia, rodzonej matki i rodzonego brata... i tych wszystkich bab. Baby służą do tego, żeby mu się pięknie żyło. Ale wdzięk załatwiał sprawę. Zdając sobie sprawę z tego, jaki on ma ten

charakter okropny... ja w końcu mu przebaczałam mnóstwo koszmarów przez ten jego wdzięk. No, przyszła chwila, kiedy tego było za wiele.

Marek. Blondyn, metr osiemdziesiąt wzrostu, postury idealnej, z taka piękną męską twarzą...

Że nie leciał na mnie, to pewne, inteligencję ukrywał starannie, z poczucia humoru był wyjałowiony, a zdolności to posiadał te wszystkie, których ja nie mam, tzw. manualne, przepiękną, znakomicie wykorzystywaną siłę fizyczną, a, jeszcze miał techniczny umysł.

Jednego miałam takiego... Nigdy nie mogliśmy się skojarzyć, trwale skojarzyć na skutek przeciwności losu, ale, jak go poznałam, mając dziewiętnaście lat, no tak, to jeszcze dzisiaj do mnie dzwoni.

A oto kolejny, zmontowany przeze mnie dialog Joanny z jej wieloletnim przyjacielem, Maćkiem Krzyżanowskim:

JOANNA:

– „Nie mam pojęcia, jak można wytrzymać ze współczesną Chmielewską...

MACIEK:

– Z taka babą jest świetnie i cudownie się przyjaźnić. No, żony takiej to ja bym nie chciał mieć...

JOANNA:

– No, ja nie jestem znowu taka strasznie okropna...

MACIEK:

– Ja też lubię mówić, a nie miałbym kiedy. Gdybym był mężem Irenki, to ja bym nie miał kiedy się odezwać...

JOANNA:

– Po tych wszystkich latach zastanawiania się, nietaktów, rozważań, zaczęłam pewną uwagę otoczeniu poświęcać i staram się nikomu nie robić niczego specjalnie złego i nieprzyjemnego. I, jeżeli od kogoś wymagam jakichś świadczeń, przysług, które są uciążliwe okropnie, to zastanawiam się, Boże drogi, jak by temu komuś zrobić przyjemność jaką?

MACIEK:

– My się podpieramy w tak wielu sprawach i kłopotach, no, nieraz bardzo osobistych. Trudno mi o nich mówić, ale wiele jej zawdzięczam...”

JOANNA: Och, ileż lat się znamy! Od pierwszego kopa mieliśmy wspólny język! Razem pracowaliśmy, do romansów było wiele okazji... jasne, że przystojny... ale to przyjemnie przyjaźnić się z kimś, kto nie budzi obrzydzenia...

JOANNA:

– „A jeżeli ktoś ze mną nie wytrzymuje, to najzwyczajniej w świecie, z największa starannością separuje się ode mnie. Między innymi mój syn...”

No to może teraz parę słów o dzieciach i wnuczkach:

JOANNA:

– „Tak, za matkę się uważam i nawet to odczuwam tak, że to jest rodzaj drapieżności. To znaczy, moje dzieci były przeze mnie maltretowane ogromnie, przeganiane po węgiel do piwnicy i tak dalej, natomiast, gdyby ktoś mojemu dziecku robił krzywdę, bez względu na to, czy słusznie, czy nie, to ja mam odruch pierwszy, wydrapać mu oczy, to oczywista sprawa...

Moje wnuczki traktuję z pewną absolutną pobłażliwością...

KAROLINA:

– Jako babcia, zupełnie nie jest babciowa (...)

JOANNA:

– Nie mam do nich żadnych pretensji, żadnych wymagań, nie czepiam się tych dziewczyn, patrzę, co z nich wyrośnie i, proszę bardzo, chętnie posłużę wszystkim, czego by sobie ode mnie zażyczyły. Na moje oko, ja jestem z nimi w przyjaźni, nie wiem, jak one ze mną...

KAROLINA:

– Babcia jest bardziej zabawowa, rozrywkowa. Czasami zabierała mnie na wyścigi... Na pewno nie jest do siedzenia przy kominku...

JOANNA:

– Wytrzymuje ze mną moja sprzątaczka, która jest perłą, diamentem (...) Jest fachowcem, pomijam to, oczywiście, ale ją bawi praca u mnie i kontakt ze mną, i właściwie ona jedyna ze mną wytrzymuje.”

Myślę, że w pewien sposób udało się w tym filmie nakreślić mapę ważnych miejsc Joanny Chmielewskiej. Zdjęcia w tylu miejscach, zabrakło tylko Paryża. No, ale cóż, sztywne prawa kosztorysu, który powinien być oszczędny...

JOANNA:

– „Ważne miejsce dla mnie w życiu to jest Warszawa. Ja się w tym mieście urodziłam, śmieszne, ale prawdziwe. Po czym byłam dzieckiem, kiedy Warszawa płonęła. Nie było mnie

tutaj, wtedy znajdowałam się w Grójcu i stałam razem z tłumem ludzi, patrząc na ogień i dymy nad Warszawą i płakałam rzewnymi łzami, tak samo, jak wszyscy inni.

Przyjechałam, wróciłam do tej Warszawy na przełomie... gdzieś 46 rok. Boże, jak to wyglądało!

To był upiorny krajobraz, ruiny, morze ruin i gdzieniegdzie paliło się jakieś światło. To był krajobraz z koszmarnej bajki.

No, nie było siły, ja muszę wrócić do Warszawy, przecież nie ma na świecie innego miasta, jest tylko Warszawa.

Fizycznie z przyjemnością uciekłabym gdziekolwiek nad morze, nie ma dla mnie innego terenu. Tam mam święty, absolutny spokój, otoczenie, które uwielbiam, klimat, w którym się świetnie czuję, gdzie mogę robić, co mi się podoba, nikt mnie do niczego nie przymusza ani niczego ode mnie nie chce.

Od początku Dania była dla mnie ziemią obiecaną. Wtedy z Polski nie mogąc pojechać do Francji, co miałam w planach, przyjechałam do Danii, kompletnie bez znajomości języka. Przecież psim swędem dostałam pracę. I ta Dania też stała się dla mnie jakimś rajem. A to jest kraj relaks. Tutaj się przyjeżdża odpoczywać, nawet pracując. To jest porządny kraj."

I w tym porządnym kraju Joanna Chmielewska chciała obrabować bank!

No tak, wiadomo, że z pieniędzmi było krucho, Joanna z dwójką swoich przyjaciół, starała się jakoś sobie radzić, więc w chwilach dramatycznych lecieli na wyścigi i ostatnie korony stawiali na konie. Czasem pomagało, ale czasem nie. I wtedy podjęli decyzję o obrabowaniu banku. I od razu pojawiły się między nimi kontrowersje na temat, który bank wybrać. Okazuje się, że każdy z nich miał konto w innym i nikt nie chciał poświęcić swojego banku na napad.

Plan więc na razie upadł. Ale kiedyś Joanna przechodziła pustą ulicą, przy której mieścił się bank i zobaczyła wystawione na chodnik worki z pieniędzmi, przed bankiem, oczywiście. Oni tam nie mają złodziei, po prostu.

Pani Joanna Chmielewska przeszła obok tych pieniędzy i udała się do pracy.

JOANNA: No bo może one były bardzo ciężkie, a ja nie lubię nosić ciężarów!

A więc nie obrabowała banku.

O Paryżu podczas realizacji filmu nie mówiliśmy. Dopiero później dowiedziałam się, że Paryż to miasto co roku odwiedzane przez Joannę i „dzieci z Kanady" (syna Joanny, Roberta, jego żonę Zosię i ich córkę Monikę).

Kiedyś Joanna zrobiła mi cudowny prezent. Okazało się, że wybieramy się do Francji w podobnych terminach, więc wymyśliła, że spotkamy się w Paryżu, zafundowała nam hotel (mojej córce Judycie i mnie, z miejscem dla psa) i przegadaliśmy niemal całą noc pod paryskim niebem.

Robert postawił mi największy w świecie kufel piwa, więc trenowałam podnoszenie ciężarów wielką hantlą z uszkiem, a Judyta z Moniką ruszyły zwiedzać miasto, bardzo zdziwione nad ranem, że obie z Zosią domagamy się ich powrotu do hotelu...

I jeszcze dodam, że kiedyś w Paryżu, gdy realizowałam film o Sławomirze Mrożku, spotkałam owego pana, który, poznawszy Joannę w wieku lat dziewiętnaście, nadal do niej dzwoni...

Super facet, mówiąc po babsku...

Teraz będzie o zwierzętach... Kiedy kręciliśmy film, Joanna mieszkała na tym trzecim piętrze i tam raczej trudno byłoby trzymać zwierzęta. Ale w domu drugiego syna Joanny, Jerzego (oraz Iwony, jego żony i ich córki Karoliny) psów zatrzęsienie i oczywiście eksplozja radości na widok Joanny.

JOANNA:

– „Co do zwierząt, cenię je znacznie wyżej, niż ludzi. Pies jest nieporównywalnie szlachetniejszą istotą, niż człowiek i znacznie bardziej uczuciową, uczciwie uczuciową. Nie zaistniał przypadek, aby jakikolwiek człowiek poszedł i zdechł z głodu na grobie swego pana. Natomiast niejeden raz zdarzyło się coś takiego w odniesieniu do psów. I dla mnie psy są znacznie ważniejsze niż ludzie, generalnie zwierzęta też.

Otóż, stworzyliśmy świat dla ludzi, my, nasz świat cywilizowany, w którym zwierzęta nie mają dla siebie miejsca, nie mają szansy na egzystencję, która by im odpowiadała. Jeżeli my, ludzie, taki świat stworzyliśmy, naszym parszywym, psim, elementarnym obowiązkiem jest zadbać o te zwierzęta, którym ich świat odebraliśmy. Jeżeli chcemy zasługiwać na miano człowieka, musimy zachowywać się w stosunku do zwierząt przyzwoicie. Inaczej bardziej człowiecze i humanitarne będą te zwierzęta, a my to będziemy to bydło ostatnie, które należy wdeptać w kratki ściekowe.”

No tak, teraz chyba już wiadomo, dlaczego mój pies dostał kiełbasę przeznaczoną na ognisko.

Joanna nie ma psa, twierdzi, że nie chce zawodzić jego zaufania, bo zwierze czeka i

tęskni, gdy właściciel wyjeżdża. Nieśmiało zaznaczam, że psa można ze sobą zabierać, ale myślę, że teraz już serce Joanny opanowały koty.

W cudownym ogródku kłębi się tłum małych i dużych kocich mieszkańców, odrobaczonych, poszczepionych, karmionych rybkami, pożywieniem z puszek i mlekiem. Mają swoje imiona, np. Czarny Panter i Pucuś, absolutnie nikt nie może się do nich zbliżyć, a Joanna je głaszcze i gada do nich w najlepsze.

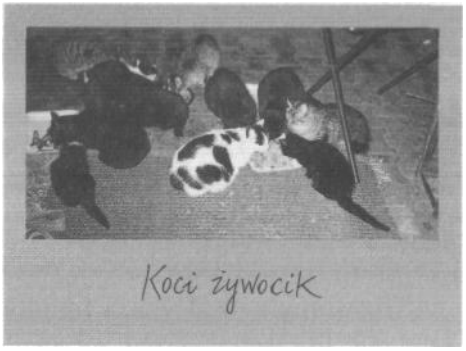

JOANNA: Jeszcze jest Berta, Telewizor i Florek...

Ostatnio usłyszałam coś, co wprawiło mnie w oszołomienie. Miałam przyjechać, ale termin przesunął się o tydzień. Joanna przyznała z żalem, że upiekła dla mnie cudowna polędwiczkę.

– Włóż do zamrażalnika – poradziłam – zjem za tydzień.

– No, nie wiem, czy się zmieści – odpowiedziała Joanna.

Natychmiast przypomniałam sobie olbrzymią lodówkę z równie dużym zamrażalnikiem i zgłupiałam.

– Dlaczego? – zapytałam oszołomiona.

– Bo wszędzie są ryby dla kotów – odpowiedziała spokojnie.

Ja zaś jestem megiera i ostatnia suka, bo własnemu psu, dorosłemu wilczurowi daje jeść tylko raz dziennie i to nie samo mięsko, tylko z ugotowaną kaszą lub ryżem.

Chyba właśnie miłość do zwierząt była jedną z przyczyn fascynacji Joanny hazardem. Przecież konie! Nie, jeszcze nie ma własnego w stajni, choć, kto wie czy do tego nie dojdzie.

Na razie umiejętnie łączy żyłkę hazardzistki z prawdziwą namiętnością do zwierząt.

JOANNA:

– „Hazard to nie jest tak, powiedzmy, człowiek popędził gdzieś, wyrzucił wszystkie pieniądze na coś tam jednego, bo on jest hazardzista, skąd. To jest też rodzaj doznań, które mogą dotyczyć kart, pokera, brydża, najłagodniejsza gra wystarczy, kasyna, ruletka, automaty (...) Ja lubię jedno i drugie, podoba mi się to.

Konie. Konie to jest namiętność wielka, nie tylko w sensie gry, ale w sensie tych koni jako takich. Przecież one są piękne. Ta fenomenalna zupełnie harmonia ruchów, ich zachowanie, indywidualności. Konie mają swój charakter, są przecudowne, maja świetny węch. Oceniają człowieka po jego zapachu. Przychodzi się do stajni, konie wyciągają szyje i łby, żeby obwąchać. Tym miękkim pyskiem wąchają pod szyja, pod twarzą. Godzą się albo nie, lubią albo nie, różnie bywa. Jak się ma cukier, to przeważnie wszystkie są dość

pozytywnie nastawione.”

JOANNA: Opisałam coś takiego w książce „Florencja córka Diabła”. Ona nazywała się Forsycja i naprawdę robiła te wszystkie sztuki. Sama bym się nie ośmieliła czegoś takiego wymyślić!

A co Joanna Chmielewska ceni w ludziach?

JOANNA:

– „No, na pewno wiem, że nie znoszę kłamstwa, nie znoszę obłudy, nie znoszę oszukiwania i także samooszukiwania się. Jest to dla mnie coś obrzydliwego. Nauczono mnie w przedwojennym jeszcze dzieciństwie, że kłamstwo to jest tchórzostwo (...) Z łgarstwem, z kłamaniem zawsze miałam kłopoty. To moja matka mnie tak źle wychowała. Nie kłamie się. Przecież do tej pory mnie jest strasznie ciężko skłamać, nie potrafię. Pierwszy odruch mam głupi, mówienia prawdy. Później dopiero się zastanowię, że trzeba było coś zełgać. Nie wychodzi to ze mnie spontanicznie. I, jeżeli ktoś kłamie, to ja o tym nie wiem, bo ktoś do mnie coś mówi i ja mu wierzę. Bo dlaczego on miałby właściwie kłamać? O cóż tutaj chodzi?

Odruch mój głupi, równie głupi jak mówienie prawdy, to jest wierzyć każdemu. Z tego wychodzi łatwowierność, naiwność i denna głupota, co tu będziemy ukrywać. Natomiast, jeśli na łgarstwie kogoś złapię rzetelnym, to to jest koniec człowieka. Przecież ja nie mogę kontaktować się, przyjaźnić z kimś, kto kłamie, nie... Co ja mam z nim zrobić? (...)

Brak poczucia humoru powoduje, że w ogóle nie mogę z człowiekiem rozmawiać. Bo poczucie humoru to nie jest tylko ta kwestia, że on się będzie z czegoś śmiał, nie, nie. To jest lekkość podejścia do rozmaitych, nawet poważnych tematów, to jest jakaś umiejętność spojrzenia, także na siebie, nie tak potwornie poważnie. „Powaga jest tarczą głupców”, ktoś tak powiedział.

I poczucie humoru zaznacza się także we wszystkich innych dziedzinach i w traktowaniu życia jako takiego, siebie, innych ludzi, tematu każdego, natychmiast zmienia osobowość człowieka.

Mnie się wydaje, że z negatywnych cech wychodzą od razu pozytywne, przyzwoitość ludzka jakaś, inteligencja oczywiście. Jeśli chodzi o charakter, to nie popadajmy w przesadę, można mieć dużo rozmaitych wad, ale zarazem te cechy powodują, że się traktuje człowieka jak człowieka”.

Przypomniało mi się teraz to słynne kopanie studni w Tończy. Naturalnie, że zasadniczą część roboty odwalili robotnicy z pobliskiej budowy, ale nie było siły, do kamery musiała pokopać Joanna. Na początku nie zgłaszała nawet specjalnych pretensji. Mam to w materiałach archiwalnych.

JOANNA:

– „Ładna gimnastyka, mogę kopać, wiecie? Ja to lubię, ciekawe, czego się dokopiemy? A może schudnę 10 deko?

ROMAN (operator):

– Gdyby pani umiała udawać, miałaby pani lżejsze życie.

JOANNA:

– Ale nie umiem!”

A potem dialog brzmiał, jak następuje:

JOANNA:

– „Chyba się popłaczę, już mi się nie chce!

ROMAN:

– Proszę udawać!

JOANNA:

– Kiedy ja lubię porządną robotę, a nie udawanie.”

Tak więc bohaterka odwaliła porządną robotę, kopiąc naprawdę, a my wyszliśmy na okrutną i bezduszną ekipę filmową, znęcającą się nad najpoczytniejszą polską pisarką.

Oczywiście, rzeczona osoba wypomina mi to przy każdej okazji, pytając, co ja chciałam znaleźć w tym dole. Niech się czepia, i tak mam wrażenie, że dokopałam się do sporej prawdy i wiedzy.

A poza tym, kto wie, może ciąg dalszy nastąpi?

JOANNA: Zgłupiałaś, będę kopać dalszy ciąg studni w ogrodzie mojej prababki?

To była fantastyczna przygoda, ale właściwie każda taka produkcja jest przygodą, jest to taki rodzaj wkradania się do czyjegoś życia, by jakiś fragment uchwycić, zapisać, czasem zinterpretować. Cudnie jest, gdy po tej pracy zostaje uczucie przyjemności i satysfakcji, czasem zażyłości, czy nawet przyjaźni na lata.

I tak sobie myślę, że miałam kupę szczęścia, pracując z niezwykłymi ludźmi, wielu też zostało moimi przyjaciółmi.

Wspominałam już swoją pierwszy produkcję, czyli „Na pograniczu trzepotu”, film o Tadeuszu Bradeckim. To naprawdę było trudne, w krótkim czasie pokonać odległości, które istnieją między ludźmi przez długie lata, by dojść do bliskości, a tu bliskość, otwarcie były konieczne, by film stanowił jakaś prawdę. Ale udało się i myślę, że choć to było wiele lat temu, także Tadeusz wspomina go z sentymentem.

Potem była Ania Dymna, piekła najprawdziwszy chleb dla potrzeb filmu. Od tego chleba potem rozbolały nas brzuchy, bo przecież nie poczekaliśmy, aż wystygnie, tylko zjedliśmy go

prosto z pieca. Ania jeszcze długo po emisji filmu dostawała od widzów najrozmaitsze podarki i np. w foyer Starego Teatru, przed premierą jakiegoś spektaklu krzyczała do mnie:

– Martusia, dostałam grzybki marynowane z Gdańska, przyjdź to się podzielimy!

I zostało nam to, że uwielbiamy długo ze sobą gadać...

Cudnie wspominam też prace przy filmie „Czy pan to tak naprawdę czy udaje?", film o Jerzym Stuhrze. Nigdy nie zapomnę długiego wieczoru w Perugii, gdy siedzieliśmy, pan Jerzy przy grappie, ja przy piwie i wsłuchiwałam się w opowieści o Konradzie Świnarskim i dawnym Starym Teatrze.

Wielkie przeżycie to była realizacja filmu „Sławomir Mrożek czyli szkic do portretu skrzętnie przez bohatera zamazywanego".

Odczuwałam i odczuwam duże onieśmielenie w kontaktach z Panem Sławomirem, a jednak udała się rzecz w którą wielu znajomych pisarza nie chciało uwierzyć, czyli że w tym filmie Sławomir Mrożek mówi! A mówi i to przez 50 minut!

Miałam też przygodę z szalikiem Pana Mrożka w Paryżu, tam było dość chłodno, nasz bohater przychodził na zdjęcia z dość rozluźnionym szalikiem i w trosce o jego zdrowie bez przerwy mu go poprawiałam, oczywiście przepraszając za ingerencję. Pan Sławomir myślał, że to na potrzeby ujęcia, dość, że gdy wróciliśmy do Krakowa, w bardzo śnieżną pogodę, jeszcze na lotnisku automatycznie poprawiłam mu szalik. Wtedy spokojnym tonem powiedział:

– Pani Marto, wychodzę jutro około 11^{00}, niech pani wpadnie wcześniej, bo będzie mi czegoś brak...

Zaś gdy po emisji filmu w telewizji spotkałam go na ulicy, uniósł kciuk do góry. Dla tej chwili warto było żyć!

Wzruszająca była praca podczas dwóch, niestety, pośmiertnych filmów – o Piotrze Skrzyneckim i Jurku Bińczyckim, smutno wzruszająca. Parę razy płakałam stojąc za kamerą...

Natomiast pani Stasi Celińskiej udało się nas wszystkich, całą ekipę, wprowadzić w stan zupełnego zaskoczenia. Wymyśliłam sobie, że poproszę ją o przedstawienie prywatnego, bardzo osobistego dekalogu. Nie ustalałyśmy tego przed wywiadem. Stasia zaczęła mówić, to trwało około dwóch godzin, słuchałam z narastającym w środku uczuciem, że oto dostaję coś niezwykłego. To była szczera, odsłaniająca wszystko spowiedź.

Pamiętam, że potem w hotelu Romek (operator) ciągle powtarzał:

– Rany boskie, fantastyczne „setki", co za kobieta!

Film nosi tytuł: „Dekalog pewnej aktorki czyli Stasia Celińska”.

No tak, faktycznie, jednego filmu jeszcze nie udało mi się zrobić.

Ale ja już też jestem optymistką i, mam nadzieję, że kiedyś do tego dojdzie. To będzie dokumentalny portret Romana Polańskiego.

Film o Joannie Chmielewskiej był na pozór z tego samego gatunku produkcji dokumentalnych o znanych ludziach, co poprzednie, ale jednak inny.

Niezwykły. Zaowocował prawdziwą przyjaźnią. Czasami, gdy sobie to uświadamiam, jest mi aż trudno uwierzyć. Dzieli nas w końcu spora różnica wieku, ale tak, jakby jej nie było.

Może to jest ta jedność oglądu rzeczywistości, podobna wrażliwość i temperament, rozumienie się bez słów. Złapałyśmy się kiedyś na tym, że jedna zaczyna zdanie, a druga je kończy.

Kłócimy się, a jakże i to jak!

Ale jak się gada niemal całą noc, można się i pokłócić.

Joanna twierdzi, że widzimy tymi „samymi oczkami”, czyli ja widzę taki sam parkan jak ona, gdy ktoś wymieni tę nazwę.

Pamiętam pewną brzemienną w skutki rozmowę na temat prób przeniesień jej tekstów na ekran.

Jechaliśmy na zdjęcia nad morze (w trakcie realizacji dokumentu o niej), Joanna, ogromnie wzburzona opowiadała o wizycie jakiegoś reżysera, zainteresowanego książką „Zwyczajne życie”.

To ciepła, urokliwa i dowcipna opowieść o nastolatkach. Główna bohaterka, Tereska mieszka w podwarszawskiej willi, reżyser zaś na początku filmu chciał pokazać wielkie surrealistyczne oko, a mieszkanie przenieść do mrówkowca.

Inny zaś zaproponował, że zrobi film z jakiejś książki, ale Chmielewska musi napisać scenariusz. I tak dalej...

W pewnym momencie Joanna popatrzyła na mnie z namysłem i powiedziała:

– Ty możesz robić filmy z moich książek, widzisz moimi oczkami...

Zgłupiałam. Nie znałyśmy się jeszcze tak dobrze, a to świadczyło już o dużej dozie zaufania, którym mnie obdarzyła.

I faktycznie, za jakiś czas, u notariusza nastąpiło przekazanie mi praw do przeniesień filmowych i telewizyjnych całej twórczości Joanny Chmielewskiej.

JOANNA: No to rób wreszcie te filmy... ileż można czekać!

A teraz będzie śmiesznie.

Zaczęłyśmy pisać scenariusz z „Krowy niebiańskiej”.

To był jeden z doskonalszych tygodni w moim życiu, mieszkałam w pobliskim hotelu i codziennie rano wędrowałam na Dolną, gdzie solidnie odwalałyśmy robotę.

Joanna pisała na komputerze, ja na zmianę na maszynie. Kiedy jej się coś na ekranie zgubiło, mruknęła:

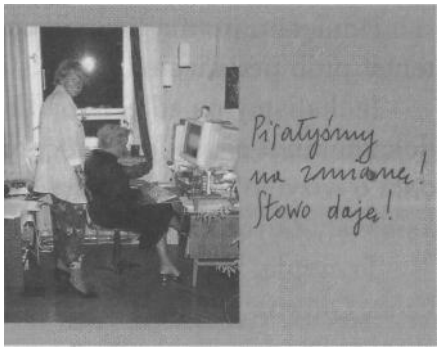

– Gdzieżeś ty głupie polazło?

A ja na wszelki wypadek odpowiedziałam:

– Przecież tu siedzę.

I umierałyśmy ze śmiechu.

Albo Joanna dyktuje, ja piszę. Tekst dialogu, w którym ktoś mówi „Pośpiesz się". Spłoszyłam się ogromnie i mówię: „Już szybciej nie mogę".

A już przy scenie z Parkowiczem* ogarnęło nas jakieś szaleństwo.

Parkowicz, przywiązany do krzesła dostaje nóż i co robi?

Pierwsze skojarzenie – odrąbuje sobie nogi, nie, coś nie tak. No to może – odrzyna nogi od krzesła? Nie, przecież nie demoluje mieszkania! Długo trwało, aż wymyśliłyśmy, że on sobie te nogi od krzesła uwalnia.

Za to zabawa nam się zrobiła przednia.

Podzieliła nas sprawa głównego bohatera, a raczej jego odtwórcy. On miał być „łapiony" przez każdą babę (takich neologizmów potworzyło nam się sporo).

A więc, jak powinien wyglądać taki okaz?

No i tu była kość niezgody.

Joannie podobali się zawsze blondyni bez ozdób na twarzy, mnie przeciwnie, czarni, brodaci i np. w okularach. Walczyłyśmy okropnie, ona w końcu powiedziała, że może mi oddać tylko listonosza albo inkasenta, że wara mi od tego „łapionego".

Nawiasem mówiąc, ani listonosz ani inkasent nie występują w tej powieści.

W końcu przypomniałam sobie, że na wystawie sklepu z męską odzieżą, który mijałam codziennie, wisi zdjęcie mojego przyjaciela, zwanego „Słomą", krakowskiego aktora, bardzo przystojnego blondyna, bez brody i okularów. Joanna chciała go zobaczyć, może w głębi duszy powątpiewała w mój gust albo bała się, że jakoś tę brodę przemycę. Dość pośpiesznie wyleciałyśmy do samochodu i pojechałyśmy oglądać faceta na wystawie.

Sklep był niemal pusty, zwróciłyśmy uwagę ekspedientek, gdy tak wpadłyśmy nagle i rzuciłyśmy się na zdjęcie. Niewątpliwie musiałyśmy wymieniać jakieś interesujące komentarze, bo z zaplecza przybyło więcej pań sprzedających, które nie odrywały od nas oczu. Nagle Joanna dopadła jednej z nich z pytaniem:

– Proszę pani, czy poleciałaby pani na tego faceta?

Pytana pokiwała głową z akceptacją i powiedziała, że gdyby wyglądał tak, jak na tym

* „Krowa niebiańska". Elunia widzi przez okno scenę napadu na dom Parkowicza, gospodarz jest przywiązany do krzesła. Kiedy bandyci opuszczają dom, Elunia włazi przez taras, uwalnia mu ręce i podaje nóż, żeby sobie sam odciął te nogi...

zdjęciu, to tak.

JOANNA: I poleciała po następne zdjęcia...

Nie wiem doprawdy, dlaczego akurat wtedy uparłyśmy się przy kompletowaniu obsady, kiedy scenariusz nie był skończony?

Z kolei, przy scenie pościgu samochodowego, Joanna wywlokła mnie z domu i pół dnia woziła po Wilanowie i Konstancinie, pokazując, którędy zwiewali złoczyńcy.

Ona jest ogromnie przywiązana do szczegółów, uwiarygodniających scenę i do tego, co wymyśliła w książce. Dlatego tak zawsze się denerwuje przy zmianach scenariuszowych i twierdzi, że reżyser może sobie w końcu napisać swoje dzieło, a nie paskudzić jej.

Gdy skończyłyśmy pisać, zdecydowałyśmy się, że wydamy przyjęcie dla zaprzyjaźnionych osób.

Przez tydzień do pożywienia właściwie nie przywiązywałyśmy większej uwagi. Na pewno jadłyśmy bób i śledzie, które Joanna robi świetne i w dużych ilościach. Czasami zamawiałyśmy pizzę i raz brzmiało to tak:

JOANNA:

– Dwie nieduże pizze pana poproszę, takie dla dwóch subtelnych kobietek, aha, i jeszcze sześć puszek piwa proszę.

Ten ktoś chyba musiał zgłupieć, słysząc zestawienie subtelnych kobiet z sześcioma puszkami piwa i przysłał nam, niestety, małe puszeczki tego napoju.

No, ale raz miało być przyjęcie.

Pojechałyśmy do Billi nabyć jakieś jadalne produkty, pamiętam, że nawet polędwicę na tatara i inne wytworne dania. Urobiłam się okropnie, ale przyjęcie pamiętają wszyscy, jako że nigdy nikt tak się u Chmielewskiej nie objadł, jak wówczas.

JOANNA: W życiu bym teraz tego nie zrobiła... nie chce mi się i już!

Wtedy też próbowałam trochę posprzątać...

Joanna twierdzi, że nigdy nie znalazła tego, co posprzątałam, ale przysięgam, że wszystko położyłam pod stolikiem i niczego nie wyrzuciłam. Ona okropnie mi patrzy na ręce i warczy, gdy tylko odrobinę coś ułożę.

Tak, w kwestii utrzymywania porządku różnimy się znacznie, a może nawet w pojmowaniu znaczenia tego słowa.

Podczas pisania tego scenariusza wyszły jeszcze inne, dość zasadnicze różnice. „Krowa

niebiańska” to książka, w której hazard odgrywa duża rolę i Joannę zaczęła trochę denerwować moja kompletna ignorancja w tym temacie. Myślę, że po cichu chciała mnie tym szaleństwem zarazić.

A więc zaczęła się edukacja.

Woziła mnie do przeróżnych kasyn i wkładając w to wiele uczucia, wyjaśniała mechanizmy rozmaitych gier i automatów. Niestety, tu ją zawiodłam na całej linii.

Ciągle mi się wszystko myliło, stoły były jednakowe, miny krupierów nieprzeniknione, a automaty bezduszne. Kiedy doszło do tego, że przy ruletce zadałam głośno pytanie:

– Czy można jednocześnie postawić na czarne i czerwone?

Krupierka nie wytrzymała i roześmiała się, a Joanna odpowiedziała:

– Można, tylko po co?

I pozostało mi wrażenie, że przyniosłam jej wstyd.

A więc niczego nie wygrałam i niczego nie przegrałam. Sterczałam tylko za plecami Joanny, usiłując zrozumieć „dublowanie”, denerwowałam ją tym tak, że zaczęła mi dawać drobne, jak dziecku cukierki, żebym się czymś zajęła.

No i raz się zajęłam, w Tivoli, w Danii... podczas wizyty u Alicji...

Pojechałyśmy do Kopenhagi pociągiem podmiejskim. Słyszałam, że Tivoli to wesołe miasteczko i jakoś mnie trochę dziwiło, że tam jest kasyno. Kasyna nie było, były automaty... No i oczywiście te szalone karuzele, pociągi i inne wymysły dla grzecznych dzieci. Nie dałam się na nic wsadzić, niczym zakręcić i niczego nie ustrzeliłam. Joanna tak, kolejne zapalniczki-koszmarki w odblaskowych kolorach.

I poszłyśmy do automatów.

Przestałam istnieć, stałam za plecami Joanny i nie wolno mi było oddychać, a cóż dopiero mówić! Nie lubię takich sytuacji, więc zaczęłam się buntować. Wtedy Joanna zgarnęła część żetonów, wcisnęła mi je do ręki i nakazała mi zająć się czymś, zejść jej z oczu, przepaść na godzinę, ma mnie nie być i tyle.

Ambicjonalnie postałam jeszcze chwilę, poprzyglądałam się innym. Komuś się coś wysypało, automat dzwonił i świecił, wygrany też świecił radością, a okoliczni ludzie zawiścią.

Oddaliłam się godnie, trochę w duchu urażona. Zabrała mnie tu i co? W następnym pomieszczeniu zobaczyłam coś dziwnego. To też były automaty, trochę inne, te, które Joanna nazywa „flotacją miedzi”.

I wpadłam.

Duże, przezroczyste szafy były wypełnione żetonami i takie metalowe ramię cały czas się poruszało, budując nawisy. Wydawało mi się, że jak ten jeden żeton wrzucę, ta usypana góra

spadnie i wysypie się do ręki. I wrzucałam... Owszem, czasami spadała, wtedy zabierałam i leciałam wrzucać do następnej szafy. To była cudowna zabawa. Wygrywałam i przegrywałam, i ciągle mi się zdawało, że teraz to na pewno ten jeden żeton i...

Kiedy Joanna mnie znalazła, miałam podobno nieprzytomny wyraz twarzy i powiedziałam:

– Już, już kończę przegrywać...

Wtedy ona przyjrzała się mojej szafie i pełna oburzenia wykrzyknęła:

– No wiesz, taka górę chcesz zostawić?!

I grałyśmy kolejna godzinę.

A potem były cudne sztuczne ognie, piłyśmy egzotyczne drinki, ja zaś poczułam się szczęśliwa z powodu tego, że zostałam hazardzistką. Joanna pewnie też w głębi ducha odetchnęła z ulgą, że w końcu okazałam się normalna.

Wróciłyśmy późna nocą i naszło nas na Polaków rozmowy, zużyłyśmy sporą ilość przywiezionej dla Alicji whisky, a poszłyśmy spać, gdy świtało.

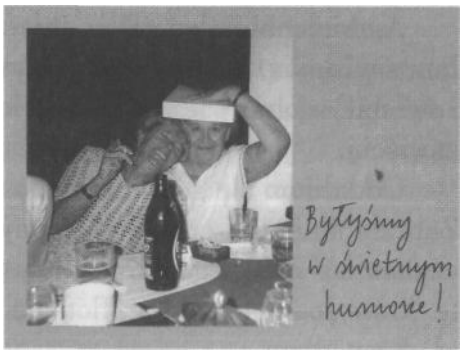

Rano Alicja zrobiła nam awanturę, że śmiałyśmy się za głośno, a ściszałyśmy głos w nieodpowiednich momentach, bo najciekawszych rzeczy nie usłyszała.

Ten pobyt u Alicji był zresztą niezapomniany, pierwszy raz całkowicie prywatny, wakacyjny i rozrywkowy.

Rozrywkowy był już sam wyjazd i podróż.

Wyjechać miałyśmy z Warszawy świtem bladym, przyjechałam więc wieczorem, nawet nie gadałyśmy długo w noc i poszłam spać na miejscu dla psa.

Joanna psa nie posiada, więc to nie było dosłownie legowisko. Po prostu kiedyś pies Jerzego wybrał sobie najbardziej odpowiadające mu miejsce i tam Joanna rozstawiła mi łóżeczko polowe. Przysięgam, spałam rewelacyjnie.

Zerwałam się raniutko.

Zawsze dostaję rano przypływu dzikiego animuszu, a tu jeszcze w perspektywie podróż!

No i teraz zobaczyłam, co oznacza ów świt dla Joanny.

Zła na cały świat siedziała w kuchni nad herbatką, niezdolna do wykrzesania z siebie żadnej energii i jeszcze na mnie powarkiwała: „Cholerny skowronek”. Na szczęście, zwykle mija jej to w miarę szybko, przyleciała pani Henia (nieoceniona pomoc domowa), wspólnie dokończyłyśmy pakowanie i już miałyśmy wyruszać. Coś mnie tknęło na schodach i zapytałam o dokumenty i pieniądze. Zostały na stole. Na szczęście, te parę stopni Joanna mogła jeszcze wrócić, nie wiem, czy z dołu byłoby to możliwe i czy pojechałybyśmy do Danii?

Jechałyśmy do Szczecina, tam miał być nocleg, potem Niemcy i prom do Danii, usta nam się nie zamykały.

To jest z Joanną niesamowite, że wciąż mamy o czym gadać. Opowiadała mi o rodzinie swojego męża, teściu, teściowej, ciotkach i wujkach, i brzmiało to jak fabuła którejś z jej powieści.

Joanna jechała szybko, ale pewnie i ostrożnie, ona i samochód lubią się bardzo, ja czytałam mapę i nawet udało się nie zabłądzić.

JOANNA: Można z tobą jeździć! Dobrze pilotujesz i umiesz czytać mapę, nie czepiam się.

Owszem, raz się zapytałam, gdzie jest zachód, patrząc w stronę zachodzącego słońca, z czego śmiała się Joanna w „Autobiografii", ale mnie chodziło raczej o to, gdzie jest morze. No, ale niech będzie! Faktycznie, ze stronami świata miewam problemy, tylko czy to od razu powód do drwin?

JOANNA: Wariatka! Wpatrzona w zachodzące słońce spytałaś: „Gdzie jest zachód?", żadne morze, nie zmyślaj!

W Szczecinie Joanna utkwiła w kasynie, ja się poprzyglądałam i grzecznie poszłam spać.

Na drugi dzień już nas pchało do tej Danii, przefrunęłyśmy przez Niemcy, przepłynęłyśmy promem (uwielbiam), nabyłyśmy whisky dla Alicji, papierosy i perfumy dla siebie i już dojeżdżałyśmy do Birkerod.

I Joanna pomyliła się dokładnie w tym miejscu, w którym chciała. Tam jest kilka dróg dojazdowych i, w zależności od chęci, błądzi się według planu. My błądziłyśmy tak, by trafić na jedyny górzysty kawałek Danii.

Dojechałyśmy...

Wzruszenie mnie ogarnęło na widok tego uroczego domku, a prawdziwa radość przy spotkaniu z Alicją. Ona ma w sobie coś takiego, że każdy czuje się z nią od razu niesamowicie blisko, znikają wszelkie różnice i bariery.

Alicja jest ode mnie starsza o czterdzieści lat, a stała się moja przyjaciółką, kumpelką, opiekunką i powierniczką.

Na początek urządziła nam dzika awanturę, że jesteśmy tak późno, potem dała piwa i pokazała najnowsze okazy w ogródku. Okazało się, że jest również Elżbieta ze Szwecji, byłam jej ogromnie ciekawa, bo to jedna z głównych bohaterek książki „Wszystko

czerwone”. Faktycznie, piękna kobieta i wcale nie tak posągowo opanowana, jak myślałam.[*]

Odmówiła kategorycznie pokazania mi zamku Hamleta. Nie rozumiałam, dlaczego wszystkie ryczą ze śmiechu. Okazało się, że wycieczka do zamku jest u Alicji obowiązkowa i każdy musi ją zaliczyć kilkakrotnie. W końcu jednak Joanna zawiozła mnie tam, siedziała w samochodzie, a ja spacerowałam sobie w szekspirowskiej atmosferze...

Wieczory spędzałyśmy szalenie rozrywkowo, Joanna zawsze kłóciła się z Alicją, o cokolwiek. Czekałam na te awantury, szczerze żałując, że nie mam kamery. Ach, cóż to by był za film!

Alicja wrzeszczała na Joannę, że coś głupio opisała w którejś z książek, Joanna wytykała jej sklerozę, kończyło się to kłótnia np. o Pawełka. Gdy wygadałam się, że prawda jest w „Harpiach”, Joanna kopnęła mnie pod stołem, aż jęknęłam. Tak, lepiej było Alicji nie pokazywać tej książki, jedna z bohaterek wielce ją przypomina...

Pamiętam również awanturę o „Krzyżowców” Kossak-Szczuckiej. Nie wiem, skąd wziął się ten temat, ja już poszłam spać, niestety, leżałam na kanapie w salonie i zasnąć nie miałam najmniejszych szans. Nie wiem, o co im poszło, zdaje się, że Alicja nie czytała tego dzieła i odmówiła wykonania owej czynności, Joanna natrząsała się z jej historycznej ignorancji, a mnie się chciało spać i płakać na zmianę.

Na początku grzecznie prosiłam, żeby były ciszej, nie skutkowało. Potem zaczęłam protestować energiczniej, wtedy zgodnie oświadczyły, że im przeszkadzam.

Ja im!

Wreszcie wleciałam do kuchni i zagroziłam, że idę spać do łóżka Joanny. Nie zareagowały. Awantura grzmiała na całego. No to poszłam spać do łóżka Joanny.

Bardzo zdziwiona zwlekała mnie nad ranem, z niebotycznym zdumieniem pytając, skąd się tu wzięłam.

Okazało się, że moich protestów wcale nie zapamiętały!

JOANNA: Młodsza od nas i spać jej się chce...

Najbardziej cierpiałam, bo Alicja nie pozwoliła niczego posprzątać. Latała za mną i wyrywała mi z rąk jakieś leżące śmieci, twierdząc, że wszystko jest potrzebne.

Rany boskie, ile tam jest potrzebnych rzeczy! A kiedy przyszły pocztą jakieś stada prospektów reklamowych, zabrała mi je i usiadła na nich, broniąc przed wyrzuceniem.

Potem wszelkie porządki usiłowałam czynić wtedy, gdy Joanna zajmowała Alicję

[*] „Wszystko czerwone”. Elżbieta to ta piękna osoba, której nie interesowało, kto jest mordercą i chciała skierować informatora bezpośrednio do Alicji. Nie bardzo zdążył, bo i jego chciano utłuc. Elżbietę zdziwiło to tylko lekko...

rozmową. Trochę nawet udało mi się przetrzebić domek, a ona nie zauważyła.

JOANNA: Nie łudź się, zauważyła, zauważyła...

Najśmieszniej było rano, wpadałam cudownie wyspana do kuchni, robiłam sobie kawę, zmywałam naczynia, leciałam na spacer do ogródka i podobno wykonywałam w strasznym tempie okropną ilość czynności. A te baby patrzyły na mnie ogromnie zdegustowane, po czym Joanna gromkim głosem kazała mi się uspokoić.

JOANNA: Nikogo nie lubię rano, nawet Moniki. Są takie dwa momenty – rano nie ma świata, paszoł won, i wieczorem. Nie pójdę spać, jak nie posiedzę z książka i herbatką. Te osoby, co u mnie śpią, niech chodzą do łóżka wcześniej.

No to czekałam, aż zacznie się dzień. Zaczynał się jajkiem na miękko (ukochane danie Alicji) i kolejną kawą.

Cudne to były wakacje, takie całkowicie babskie, rozplotkowane, beztroskie, pełne żartów, piwa, remulady[*] i sałatki z ziemniaków.

Raz na kolacje przybył mężczyzna!

Myślę, że on do końca życia nie zapomni tego wieczoru, a ja wyrazu jego twarzy. To był młody Anglik, zamieszkały w Danii, kumpel Alicji (ona ma kumpli w różnym wieku). Zapowiedział się na krótko, bo potem był umówiony w Kopenhadze. Siedział zaś cztery godziny, roziskrzonym wzrokiem wpatrując się w cztery baby w różnym wieku (Joanna, Alicja, Elżbieta i ja). Niewiele rozumiał, ale był przekonany, że uczestniczy w czymś wyjątkowym.

Jak by powiedziała kiedyś, dawno temu mała Agata, kościelna wnuczka Joanny[*]: „To był największy przeżytek w jego życiu".

Językowo była to istna Wieża Babel.

Alicja mówiła do niego po duńsku, Elżbieta po szwedzku, ja po angielsku, a Joanna w łączonym, niemiecko-angielsko-francuskim języku.

Wydałyśmy uroczyste przyjęcie w polskim stylu.

Konwersacja na początku była elegancka, grzeczna i uprzejma. Potem zaś zamotałyśmy się w swoje sprawy, Joanna pokłóciła się z Alicją, Alicja z Elżbietą, ja z Joanną i tak dalej.

---

[*] To jest takie pyszne coś, co jadłam w Danii do ryb, ale Joanna wie lepiej... JOANNA: To taki majonez z przyprawami, ale nie wiem jakimi...

[*] Kościelna wnuczka to córka pierwszej żony Roberta z jej drugim mężem... coś mi nie wyszło. Robert miał pierwszy żonę, Ankę, po rozwodzie ona wyszła za mąż i ma córkę Agatę. Dla Joanny Anka to kościelna synowa, a Agata - kościelna wnuczka. A czy ja mówię, że to jest nieskomplikowane?

Mówiąc krótko, zapomniałyśmy o obecności młodego człowieka, on na początku domagał się tłumaczenia, raz na jakiś czas któraś z nas litościwie wprowadzała go w temat w różnych językach, potem już tylko siedział i patrzył dziwnym wzrokiem, dolewając sobie piwa.

Myślę, że było mu bardzo żal nas opuścić i kiedy w końcu poszedł, miał minę taką, jakby ktoś zabrał mu ulubiona zabawkę. A my, oczywiście, jak gdyby nigdy nic, wróciłyśmy do rozmowy.

Znamienne były też nasze wypady do sklepów. Joanna kupowała eleganckie halki i szlafroki, buty na szpilkach, ja lniane portki i buty na koturnach. Jedyny wspólny zakup to były, jak pamiętam, sztuczne rzęsy.

Ileż ja zresztą oberwałam za chodzenie w spodniach! Sama Joanna dzielnie przez całe życie kroczy na szpilkach, często w pończochach ze szwem (!), w eleganckich spódnicach i do szału ją doprowadzają dżinsy. Przyznaję się, że chcąc ją udobruchać, ubieram się w spódnicę i buty na wysokim obcasie. Wtedy uznaje, że przypominam kobietę i zgadza się np. przejrzeć scenariusz...

Wakacje się, niestety, skończyły i trzeba było wrócić do rzeczywistości...

Pracowałam sobie w tej swojej telewizji, robiłam filmy i reportaże, ale po programie o Chmielewskiej było mi jej ciągle za mało. No i znów wpadłam na genialny pomysł i znów realizacja tego pomysłu przeszła moje oczekiwania.

Miałam wtedy jeszcze normalnego dyrektora, zresztą prywatnie serdecznego mojego przyjaciela. Myślę, że tym swoim filmem zaraziłam go trochę Joanną. Podejrzewam wręcz, że czekał z utęsknieniem na wspólne wyjazdy do Warszawy i wizyty u Joanny. Kiedy więc zgłosiłam mu pomysł zaproszenia jej do programu na żywo, do Krakowa i spędzenia Sylwestra na antenie Telewizji Kraków, przyklasnął temu z radością.

Joanna przyjechała ze swoją synową, wnuczką Karoliną i Julitą (obie – Iwona i Julita stanowiły Wydawnictwo Vers, publikujące książki Chmielewskiej)[*].

Jak zwykle, Joanna dzwoniła wielokrotnie z drogi, szukając wjazdu do Krakowa z autostrady, w końcu zagroziła, że pojedzie do Zakopanego, bo to prostsze. No, ale dotarły.

Trochę czasu spędziłyśmy przed lustrem, bo wymyśliły sobie pokaz mody i mierzenie peruk, trochę połaziłyśmy po lokalach Krakowa, aż wreszcie nadszedł Sylwester. Karolina

[*] Wydawnictwo Vers już nie istnieje, od około dwóch lat wydawaniem książek Joanny Chmielewskiej zajmuje się Wydawnictwo Kobra.

kończyła właśnie osiemnaście lat, czekał na nią w studiu olbrzymi tort i zabawa z jego krojeniem.

JOANNA: Trzeba było pokazać bałwany, które się z tego tortu porobiły, nie było noża, tylko taka łopatka i nią kroiłam ten tort...

Program był na żywo, prowadziła nasza prezenterka Kasia i ten biedny Zbyszek, który niegdyś pytał o pomysły do książek.

Telefony od widzów do Joanny Chmielewskiej po prostu się urywały. A ja myślałam, że ludzie szaleją na balach! Skądże!

Jakiś młody chłopiec wyznał przez telefon, że nigdy wcześniej nie czytał książek, a jak zaczął od Chmielewskiej, tak już poszło. Joanna puchła z dumy. Oczywiście, wykorzystała też okazję, żeby się ze mną o coś pokłócić na wizji, pewnie o tych brodatych. Pamiętam dość zdezorientowane miny prowadzących...

Przed dwunastą zawieziono nas na Rynek, gdzie Prezydent Miasta Krakowa miał składać życzenia mieszkańcom.

Jako, że Joanna była honorowym gościem telewizji, zaproszono i nas na scenę.

Jeszcze teraz, jak sobie to przypomnę, chichoczę w środku...

Przemówienie Prezydenta było długie i podniosłe, trzymałyśmy nie otwarte butelki szampana, czekając na toast.

Widzowie przed telewizorami, podczas przemowy Prezydenta, nagle usłyszeli zniecierpliwiony głos Joanny Chmielewskiej:

– Czy wy macie tu prawdziwych mężczyzn do otwarcia szampana?

Mój kierownik produkcji, siedzący w wozie transmisyjnym, o mało nie zemdlał, moje „pst" też już nic nie mogło poradzić, zapomniałam ją uprzedzić, że mamy otwarte mikrofony i stało się! Zagadałyśmy Prezydenta.

Jego w nadchodzącym roku zmieniono, mnie obcięto honoraria, a Chmielewska na krakowskim Rynku przeszła do historii.

Uparłyśmy się na następny scenariusz, tym razem z książki „Wszyscy jesteśmy podejrzani".

Ja mam do niej specjalny stosunek, bo to jedna z tych trzech książek z mojego dzieciństwa, poza tym Joanna doopowiadała mi więcej treści, niż napisała, bo to była autentyczna pracownia i autentyczni ludzie. I to może niedobrze, bo zbyt przywiązałyśmy się

do detali i szczegółów.

Nasz scenariusz zostawiał akcję w latach sześćdziesiątych, dowcipy językowe z tamtych czasów, nawet wystrój wnętrz i stare samochody, Redakcja Teatru TV i Program II wybrali jednak scenariusz Macieja Dutkiewicza, który akcję przeniósł we współczesność.

I mnie osobiście tego bardzo żal, może dlatego, że uwielbiam czarno-białe polskie filmy z tamtych czasów. Fakt, że tracą myszka, ale w bardzo wzruszający sposób.

Maciek twierdził, że młoda widownia nie zrozumie, np. stania w ogonku po szynkę w Delikatesach albo pasztet w tubach*, więc zniknęły tamte realia.

I taki np. tekst:

– „Zetrzyj to, wyglądasz jak maszkara"

zastąpił słowami:

– „Zetrzyj to, wyglądasz jak Barbi."

Joanna do dziś nie może mu tego wybaczyć. Pamiętam, że po kolejnej walce słownej powiedziała do Dutkiewicza w zacietrzewieniu:

– Wie pan co? Pan zasługuje na to, żeby ze mną zamieszkać! Za karę!

Minę miał Maciek nietęgą, ale się nie przestraszył, poszedł sobie, a spektakl zrobił po swojemu.

Zresztą mnie się on w sumie podoba, spektakl oczywiście, nie Dutkiewicz. W końcu grała naprawdę plejada aktorów. Joannę odtwarzała Edyta Olszówka, a w pozostałych rolach pojawili się: Stasia Celińska, Janek Englert, Zbyszek Zamachowski, Kazimierz Kaczor, Paweł Delag, Krzyś Globisz, Ania Radwan, Piotrek Urbaniak, Artur Dziurman i Tomek Stockinger. No, obsada jak marzenie!

I praca z nimi to bajka, naprawdę.

Przez tydzień nie mieszkałam w domu. Niemal nie wychodziliśmy ze studia, bo Maciek jest bardzo pedantycznym reżyserem i robił wiele dubli każdej sceny.

A w przerwach siedzieliśmy w telewizyjnym bufecie i brzuchy nas bolały od śmiechu, bo Zbyszek Zamachowski nie przestawał opowiadać kawałów.

Podczas tej realizacji zrobiłam krótki reportażyk z planu, nazywało się to „Randka z Chmielewską" i tam jest taki zabawny montaż dubli jednej sceny. Grali: Edyta, Janek Englert i Piotrek Urbaniak.

Brzmiało to tak:

Piotr – To jest pan prokurator Wesoły, będzie nadzorował śledztwo...

Edyta – Naprawdę? Panie prokuratorze Wesoły, chciałabym złożyć oświadczenie...

Janek – Mam do pani prośbę, proszę nie używać zbyt często mojego nazwiska, denerwuje mnie to, z

* Przysięgam, nigdy tego nie widziałam, ale wierze Joannie na słowo.

nieokreślonych powodów...

Edyta – Chciałabym się przyznać, popełniłam z denatem przestępstwo...

Nakręciłam kilka dubli tej sceny, w różnych wersjach. Oto parę z nich:

Englert – Mam po pani prośbę, proszę nie uzżywać..

(kamera stop – jeszcze raz)

Olszówka – Chciałabym się przyznać, popełniłam z danatem..

(kamera stop – dubel)

Urbaniak – To jest pan prokurator We... Wesoły...

(dubel proszę)

A kolejna próba to był po prostu nieopanowany wybuch śmiechu całej trójki.

Naprawdę, z dużym sentymentem wspominam ten teatrzyk.

Ale to były jeszcze dobre czasy w krakowskiej telewizji, ludziom się chciało pracować przy ważnych dla nich produkcjach, nie chodziło aż tak o pieniądze i nie powstawało tak dużo byle czego.

Ale niestety, normalny dyrektor odszedł, miał chyba dosyć walki z wiatrakami, która już się zaczynała i rozpoczęły się schody...

I właśnie wtedy zaczęłyśmy pisać z Joanną nowy scenariusz o telewizji.

Na ten pomysł wpadł, uczciwie mówiąc, mój kierownik produkcji. Przyniósł kiedyś ogłoszenie o konkursie na scenariusz i powiedział:

– Może byś się tak ruszyła, co? Masz przecież Chmielewską, napiszcie coś!

Tymi słowy kierownik produkcji motywuje redaktora do wysiłku intelektualnego!

Ale nawet nic nie powiedziałam, bo olśniła mnie prostota tego pomysłu. Jasne, jakie to proste, trzeba tylko namówić Joannę!

Miałam sobie to potem wielokrotnie przypominać, „jakie to proste”!

Oczywiście, na początek odmówiła kategorycznie, że to nie jej forma, nie jej środowisko, nie lubi obyczajowych utworów i tak dalej.

Tłumaczyłam, że scenariusz może być na początek, potem zaś można z tego zrobić książkę, że środowisko znam aż za dobrze i wszystko jej opowiem, że przecież serial może być kryminalny i co nam szkodzi uśmiercić takiego np. dyrektora telewizji?

Chyba ten ostatni argument przeważył. Mnie też się najbardziej podobał. I to, że Joanna uwielbia wyzwania, choć twierdzi, że marzy o świętym spokoju.

W końcu dała się namówić, ustaliłyśmy z grubsza zarys fabuły, scenerię i bohaterów.

I kolejny raz pojechałyśmy do Alicji, zabierając laptopa, z planami pracy tamże.

I znów było lato, cudowny ogródek Alicji, ja obłożona stertami notatek, Joanna walcząca z drukarką. Układałyśmy losy dziennikarki telewizyjnej (dziwnie podobnej do mnie) i budowałyśmy sieć afer (czy to były tylko fantazje?).

Alicja obrażała się na nas średnio cztery razy dziennie, bo dość niemrawo podejmowałyśmy pogawędki i krzyczała wtedy, że to nie jest obóz pracy i że przyjechałyśmy do niej z wizytą.

Właściwie to miała rację!

Usiłowałyśmy ją jakoś obłaskawiać na zmianę, tzn. Joanna pisała, a ja gadałam z Alicją i na odwrót. Ale i tak mam wrażenie, że do końca pobytu miała do nas żal.

No i wtedy zaczęły się fanaberie drukarki. Ona chyba też nas nie lubiła, odmawiała współpracy na pół dnia i kamieniała w uporze, słuchając dość nieparlamentarnych opinii Joanny na swój temat.

Pamiętam takie słoneczne przedpołudnie: ogródek, rozłożony warsztat pracy, udobruchana Alicja i nagle to wredne ustrojstwo warczy przez chwilę, a potem wzgardliwie milczy.

Joanna z rozwianym włosem i szaleństwem w oczach wyczynia nad nią jakieś sztuki. Bez rezultatu. W końcu łapie za komórkę i przez czterdzieści minut słucha instrukcji mojego przyjaciela z Polski, znawcy komputerowego.

On dopiero po jakimś czasie przyznał się, że ten telefon zastał go w toalecie i spędził tam całe czterdzieści minut, bo nie chciał przerywać rozmowy.

Ale ta pomoc też niewiele dała.

Po nierównej walce z drukarką, Joanna stwierdziła, że trzeba dać ją do naprawy albo kupić nową. Uprosiłyśmy Alicję, żeby z nami pojechała, potrzebna była jako osoba mówiąca w tym dziwnym języku.

Bardzo mili i uczynni byli ci Duńczycy. Ale widać było, że wywarłyśmy na nich kolosalne wrażenie, bo kiedy Alicja nie wiedziała, jak im wytłumaczyć fanaberie drukarki, my obydwie włączałyśmy się do rozmowy i do dramatycznych zawołań w języku angielskim dołączałyśmy machanie rękami i naśladowanie warkotu i zgrzytania drukarki.

Nie wiem, co oni sobie pomyśleli o trzech wariatkach, grunt, że bardzo szybko naprawili urządzenie.

Tam się chyba boją wariatów!

Dość na tym, że drukarka pracowała sobie spokojnie do kolejnego weekendu i znów przestała. Ręce nam opadły, ale Joanna inteligentnie zauważyła, że zaraz przyjadą dzieci z Kanady i że jeśli nie jej syn, to wnuczka na pewno ujarzmi ten komputer.

Czekałyśmy na Roberta, Zosię i Monikę jak na zbawienie.

I słusznie.

Wieczorem, w dniu ich przyjazdu Joanna zademonstrowała urządzenie, które, oczywiście, odmówiło współpracy. Robert najpierw wysłuchał wszystkich kalumnii, potem podszedł do laptopa, zadumał się na chwilę, dotknął go palcem i obrzydliwa drukarka ruszyła. Zgłupiałyśmy totalnie.

JOANNA: Podszedł do laptopa i zapytał, o co nam chodzi, a to bydlę ruszyło! Nawet jej nie dotknął...

Nie wiem, co to było, ale już do końca pobytu, kiedy pisałyśmy i to bydlę się zacinało, Joanna wołała Roberta, który stawał obok i drukarka działała. Nigdy tego nie zrozumiałam, mówiąc szczerze, nawet nie miałam takiego zamiaru. Zresztą wręcz uciekałam przed Robertem, który założył sobie, że wytłumaczy mi działanie komputera. Optymista! W końcu dał mi spokój, chyba przeważył argument, że jestem blondynką!

Oni nam się bardzo przydali podczas pisania.

Kiedy chciałyśmy wyliczyć sobie, ile trwa dana scena, kazałyśmy im czytać na role. Robert chciał grać czarny charakter, a Zosia dopytywała się niecierpliwie, jak długo ma warczeć jako dzwoniący telefon.

W Zosi odnalazłam od razu bratnią duszę. Ona, tak samo jak ja, uwielbia porządek i cierpiała katusze, gdy nie wolno jej było niczego posprzątać. W końcu wymyśliłyśmy pewien system. Korzystając z tego, że kuchnia Alicji nie jest wielkich rozmiarów, jedna z nas zajmowała strategiczną pozycję i wdawała się w pogawędkę z gospodynią, a druga szybko pakowała do reklamówki np. dawno temu ugotowany bób albo stare nasiona, przemykała do drzwi i leciała do śmietnika.

Trochę nam się udało tego pozbyć.

JOANNA: To był nasienny bób, a nie dawno ugotowany, do jedzenia się nie nadawał...

Patrząc na dzieci z Kanady, pomyślałam sobie, że w tym dziedziczeniu i genach jest sporo prawdy. Duch hazardu jest w tej rodzinie wszechobecny. Zabierali mnie i na wyścigi konne i na automaty. Joanna, Robert i Monika przestawali istnieć dla świata, grali na wszystkim i wygrywali, szczególnie Monika.

Jedna Zosia nie dała się całkiem zwariować i miałam się do kogo odezwać.

Potem oni wszyscy odjechali do Paryża, a ja jeszcze na parę dni zostałam u Alicji. Z robotą nad scenariuszem musiałam się ukrywać, za to przegadałyśmy nawzajem swoje życia.

JOANNA: A ona jeszcze po roku miała pretensje o te robocze wakacje i wypominała to przy każdej okazji.

No, ale oczywiście po wakacjach wróciłyśmy do roboty.

Czasem jechałam na trochę do Warszawy, ale często pracowałyśmy przez telefon. Już nie pamiętam najlepszych smaczków, ale często np. gdy siedziałam w montażowni telewizyjnej, trudząc się nad jakimś reportażem, dzwonił telefon i słyszałam pytanie typu:

– Słuchaj, przecież my nie możemy go zabić podczas pracy, bo ktoś zauważy!

Wtedy nieprzytomnie odpowiadałam:

– Nie szkodzi, możemy go zabić później.

I widziałam dziwna minę mojego montażysty...

Oczywiście opowiadałam Joannie o wszystkich ciekawszych sytuacjach, które się wydarzyły i ona natychmiast umieszczała je w scenariuszu. Nie wiem, czy kiedykolwiek do tej produkcji uda się wrócić i tę scenę nakręcić, więc na wszelki wypadek opowiem o niej.

To zdarzyło się naprawdę. W ekspresie relacji Warszawa-Kraków.

Złośliwi mówią, że poziom inteligencji w Warszawie drastycznie spada, gdy odchodzi ostatni piątkowy ekspres do Krakowa...

Nie pamiętam, czy to był ten pociąg, ale na pewno wieczorny.

Spotkałam w Warsie Stasia Radwana, fantastycznego kompozytora i przeuroczego człowieka, który robił mi muzykę do kilku filmów i myślę, że się zaprzyjaźniliśmy.

Naturalnie, spotkanie ucieszyło nas niezmiernie, zabraliśmy szklanki z piwem i zasiedliśmy w moim przedziale. Jechał jeszcze jeden pan, więc przyciszonym tonem opowiadaliśmy sobie dykteryjki o znajomych i kawały.

Nagle, przed Krakowem usłyszeliśmy jakieś uderzenie i pociąg stanął. Wyjrzałam przez okno i bardzo zdziwiona oznajmiłam:

– Stasiu, według mnie, nasz pociąg miał wypadek samochodowy!

Staś wyjrzał też. Pociąg stał na przejeździe kolejowym, spod naszego przedziału wystawał kawałek ciągnika. Na szczęście, obyło się bez ofiar.

Ludzie powychodzili na zewnątrz. Ubawieni patrzyliśmy na goniących po polu biznesmenów, szukających zasięgu telefonów komórkowych. Joanna opisała to potem z dialogami typu:

– „Tu mam zasięg, panie mecenasie."

– „Niech się pan posunie..."

Poszliśmy ze Stasiem i towarzyszem podróży do pobliskiego sklepu. Piwo było świetne, zimne i bardzo tanie. Pan z przedziału przyznał się, że podsłuchiwał nasze rozmówki i nie słyszał puenty wielu kawałów, bo ściszaliśmy głos. Zaczęliśmy nadrabiać to karygodne zachowanie. Obok nas co chwila pojawiał się pewien miejscowy w stanie wskazującym. Stawał koło Stasia i mówił:

– Panie, daj pan papierosa.

Staś najpierw go częstował, a potem wyjął 5 złotych i dał mu na papierosy. Facet wziął, wszedł do sklepu, za chwilę wyszedł i powiedział:

– Jeszcze 20 groszy...

Zaciekawił nas ogromnie. Co on pali, cygara?

Czekaliśmy w ogromnym napięciu.

Mężczyzna wyszedł, trzymał pod pachą flachę wina, podszedł do nas i powiedział do Staszka:

– Panie, daj pan papierosa...

Umarliśmy ze śmiechu.

To była jedna z cudowniejszych podróży, bardzo nam się tam podobało, ale, niestety, nadjechała żona Stasia i zabrała nas do Krakowa.

Takie właśnie sytuacje opowiadałam Joannie jako ciekawostki, a ona robiła z nich perełki w scenariuszu.

JOANNA: Ja to ładniej opisałam od ciebie...

Bardzo mi zależało, by produkcja tego serialu odbywała się w Krakowie, by grali krakowscy aktorzy i pracowała krakowska ekipa realizatorów. Nie było to łatwe, wtedy jeszcze monopol na takie produkcje miała Warszawa. W końcu wywalczyłam pieniądze na trzy pilotażowe odcinki.

Niestety, chociaż ja nie chciałam do Warszawy, Warszawa przyszła do mnie...

Mój ówczesny dyrektor, operator z zawodu podjął się robienia zdjęć, ale nie tylko. Narzucił mi reżysera z Warszawy, ten zaś z kolei swojego syna-kompozytora i montażystę, też z Warszawy...

Nie będę się nad tym rozwodzić, bo od razu zaczyna mnie boleć serce i parę innych rzeczy.

Powiem tylko tyle, że aktorzy grali świetnie – Krzyś Globisz, Kasia Gniewkowska, Beata Fudalej, Ania Radwan i inni, ale efekt antenowy był, delikatnie mówiąc, nieciekawy. Niektóre sceny rozwleczone, inne pocięte nieprzyzwoicie, fatalny montaż, muzyka też, i ogromne problemy ze światłem...

Scena w pokoju redakcyjnym, ta sama scena, raz przy pełnym świetle, raz przy zasuniętych żaluzjach, raz przy świetle lampy. A potem bohaterka wybiega na słoneczny parking...

JOANNA: Reżyser nie zrozumiał niczego...

Cała nasza praca poszła na marne, mam tylko nadzieję, że kiedyś, przy sprzyjających układach, ktoś się zainteresuje tym tekstem, tamte złe odcinki pójdą w niepamięć i uda się zrealizować coś atrakcyjnego. Na razie Joanna dość się zraziła do współpracy z telewizją i, mówiąc szczerze, wcale jej się nie dziwię.

Podczas zdjęć przytrafiały nam się dość niezwykłe i zabawne sytuacje.

Do historii serialu przeszła akcja z kozą!

W scenie, dziejącej się w studiu telewizyjnym występowała żywa koza.

Przysięgłam sobie, że już nigdy więcej nie będę producentem programu z prawdziwymi zwierzętami!

Ekipa scenograficzna przywiozła kozę wczesnym popołudniem, przywiązaliśmy ja do drzewa w ogródku i cała telewizja latała na wyścigi, by ją oglądać.

Zdjęcia trochę się opóźniły, koza obgryzła drzewko i zaczęła mieć niepokojąco duże wymiona. I okazało się, że nikt nie umie kozy wydoić. Czas mijał, zwierzę cierpiało, a ja dostawałam histerii. W końcu jedna z pań sprzątających zlitowała się i wydoiła kozę.

JOANNA: Popatrz, trzeba było umieścić w scenariuszu scenę dojenia kozy...

Zaczęliśmy zdjęcia w studiu.

Chyba pogłupieliśmy już wszyscy po trochu. Pamiętam taki moment, kiedy operator usiłował ustawić kozę frontem do kamery (odwrotnie byłoby łatwiej) i ciągnął ją za rogi. Wtedy, stojący obok scenograf Bartuś z filozoficznym spokojem powiedział:

– Niech pan jej tak nie szarpie, bo rogi mogą się urwać i trzeba będzie za to zapłacić.

Argument finansowy przekonał mistrza oświetlenia.

Operator puścił kozę natychmiast.

Kłopot zaczął się po zakończeniu zdjęć. Ekipa od transportu kozy nie przyjeżdżała, deszcz padał, przywiązaliśmy ją na portierni, a ja już zaczęłam dostawać szału.

Chcieliśmy ją odwieźć sami, tylko nie wiedzieliśmy, dokąd?

Doszło do tego, że Bogdan, scenograf zadzwonił do domniemanego właściciela kozy i oznajmił, że ją przywieziemy. Okazało się, że osobista koza tego pana stoi w stodole. Bogdan ogłupiał do tego stopnia, że zażyczył sobie sprawdzenia tego faktu. Ten pan chyba też ciut ogłupiał, bo wysłał żonę do stodoły, kobieta poleciała tam w koszuli nocnej i z ulgą potwierdziła obecność kozy.

Rozważałam już ewentualność noclegu zwierzątka na moim balkonie, gdy wreszcie nasza ekipa od kozy przyjechała po nią. Późno w nocy „aktorka" odjechała do domu i chyba miała dość kariery aktorskiej...

A wszyscy w telewizji natrząsali się ze mnie w nieskończoność.

Kiedyś asystentka kostiumologa, wracając z Warszawy pociągiem, zadzwoniła do mojego kierownika produkcji i powiedziała:

– Edziu, deszcz pada, na polu pasą się kozy i mokną, powiedz Marcie, niech coś zrobi...

Ekipa nasza była fantastyczna, ta krakowska oczywiście. Razem z aktorami czuliśmy się jak rodzina i naprawdę wierzyliśmy w sens tej pracy. Chciało się nam, naprawdę. Teraz to już rzadkość.

No nic, nie będę się już rozwodzić nad tym tematem.

I nie będę przytaczać komentarzy Joanny podczas oglądania zmontowanego dzieła, bo były dość niecenzuralne...

Tak więc, na razie zakończyła się nasza przygoda z produkcją serialu.

Ale, jak już wspomniałam, po cichutku piszę scenariusz z „Lesia", scenariusz z „Babskiego motywu" złożyłam w Agencji Scenariuszowej TV i liczę, że dojdzie do realizacji filmu z książki „Romans wszechczasów", produkcji Mariana Terleckiego, w reżyserii Olafa Lubaszenki.

Piszę o tym tak dużo, bo wydaje mi się ze wszech miar słuszne przenoszenie książek Chmielewskiej na ekran. Ona ma ogromną ilość wielbicieli, którzy chętnie oglądaliby losy swoich bohaterów na ekranie. Mogłoby to być, w pewnym sensie, wskrzeszenie dobrych tradycji telewizyjnej „Kobry".

Joanna w tym czasie już przenosiła się do nowego domu, wreszcie pożegnała się z upiornym trzecim piętrem, zyskała ukochany ogródek, ja już nie miejsce dla psa do spania, lecz pokój na pięterku.

Uwielbiam tam jeździć, naprawdę, nie wiem, czy Joanna jeszcze lubi moje wizyty, ale na razie nie prezentuje stanu obrzydzenia na mój widok.

Ostatnio byłam u niej.

I tak, jak zwykle pierwszy dzień to czas spotkań, tłum ludzi przewala się przez ten, na pozór spokojny domek. Tadzio Lewandowski, plenipotent Joanny przywiózł Patricię, przyszłego wydawcę książek Chmielewskiej we Francji, wpadła Magda Kłaczyńska, była prezenterka II Programu, teraz pani reżyser, Witek, siostrzeniec pani domu... O, miał też zajrzeć Tadzio (syn Maćka Krzyżanowskiego), żeby pogadać ze mną o aferze Rywina, ale nie zdążył.

Patricia jest urocza, młoda dziewczyna, widać, że pełna zapału i entuzjazmu. Ogromnie chciała się dowiedzieć czegoś więcej na temat Joanny i jej książek. Pokazaliśmy jej mój film ze studniami w roli głównej, Magda nawet tłumaczyła jej go symultanicznie, Patricia kiwała głową, dość oszołomiona. Nie wiem, ile zrozumiała naprawdę, widać było, że starała się rzetelnie.

Zadała mi trudne zadanie: chciała, żebym jej opowiedziała najśmieszniejsze fragmenty z książek Chmielewskiej. I tu sama sobie zrobiłam „ziazi". Po angielsku usiłowałam jej opowiedzieć, jak to Lesio spotyka różowego słonia i wpada w ramiona milicjanta[*], a potem streścić dialog z „Wszystko czerwone", z panem Muldgaardem i tekstem: „Ta dama, to wasza

[*] Moja ukochana scena w „Lesiu". Bohater w stanie lekkiego upojenia alkoholowego, idąc ulicą, widzi pod czerwonym neonem tańczącego różowego słonia. Przekonany, że ma zwidy, szybko chce opuścić trudny teren. Zaczyna uciekać, ale wpada w ramiona milicjanta i na wszelki wypadek krzyczy, że nie ma, ukradli słonia. Milicjant przejmuje się bardzo kwestią kradzieży... Rzut oka na Lesia wyjaśnia wszystko. A w cyrku po prostu trwała próba...

mać?”[**]

No i proszę, wytłumaczcie Francuzce po angielsku słowo „mać” z obecnym jego wybrzmieniem?

Nie wiem, co ona zrozumiała, ale polska część towarzystwa wyła ze śmiechu i próbowała dodawać tłumaczenie po francusku...

JOANNA: Trzeba było jej opowiedzieć scenę napadu na pociąg z „Lesia”, ciekawe, jak by ci to wyszło...[***]

Konwersacja z Patricią trwała parę godzin i to, co poczułyśmy z Joanną po wyjściu gości to był przejmujący głód. Wyżerałyśmy zimne nogi z kurczaka, bo szkoda nam było czasu na ich podgrzewanie. Potem poszłam na spacer z Cezarem (tam jest tak jeszcze sielsko i spokojnie jak na wsi), obejrzałyśmy „Komisarza Rexa” i strasznie grzecznie poszłyśmy spać...

Rano był błogi spokój.

Nie schodzę pierwsza, bo od kiedy mi Joanna wytłumaczyła, że mam minutę na przejście i odblokowanie alarmu, to ja się boję. Nie mam wyczucia czasu i nie zamierzam być zaaresztowana przez firmę ochroniarską...

Joanna twierdzi, że minuta to dużo czasu i nawet chciała, żebyśmy poeksperymentowały, ja jednak nie wykazałam się specjalnym entuzjazmem wobec tej propozycji.

No więc, złazimy z Cezarem, jak już słychać jakieś życie na dole.

Już się przyzwyczaiłam, że na moje „dzień dobry” często słyszę: „Wiesz, wypchaj się”. Trudno, każdy lubi inną porę dnia. Ja akurat rano. Wylatujemy na spacer, zostawiając Joannę przy kolejnej szklance bardzo mocnej herbaty, a jak wracamy, pani domu staje się komunikatywna i proponuje:

– Daj psu śniadanko, pewnie głodny.

Pies nie taki znowu głodny, je raz dziennie, ale ja bym chętnie jakaś grzaneczkę...

Niestety, mnie wolno po psie, nagana wisi w powietrzu, tak na mnie patrzą, że grzanka staje w gardle.

Wyłazimy do ogródka. Ja oczywiście pysk do słońca, Joanna w cieniu, pies koło mnie, koty wszędzie. I jest cudnie. Kawa i papierosek (to ja), herbata i papierosek (to Joanna) i

---

[**] Do prowadzenia śledztwa w sprawie morderstwa w domu Alicji w Danii wytypowano Duńczyka mówiącego po polsku. Władał on dość ciekawym językiem, będącym pomieszaniem Biblii ze staropolszczyzną. Pytanie o ilość osób brzmiało: „Azali były osoby mrowie a mrowie?”, a podczas kłótni matki z synem, zwrócił się do owego syna z zapytaniem „Ta dama, to wasza mać?”

[***] Podczas słynnego napadu na pociąg, Lesio obarczony dla kamuflażu garbem, miał lecieć naprzeciw pociągu z zapaloną pochodnią w ręku, by ów pociąg zatrzymać. Pomyliły mu się jednak kierunki i leciał przed pociągiem w tę sama stronę, gubiąc po drodze i garb, i pochodnię.

gadamy.

Ja nie miałam pojęcia, jak to może brzmieć dla kogoś normalnego, ale parę razy usłyszałam niekontrolowane wybuchy śmiechu pani Heni, więc przemknęło mi przez myśl, że albo forma, albo treść naszych rozmów mogą być nieco szokujące.

Pani Henia, jak mówiła Joanna w filmie, perła nie człowiek, od wielu lat dba o porządek i stała się już prawie członkiem rodziny. I chyba faktycznie nieźle się bawi w domu Joanny Chmielewskiej.

Gadałyśmy o dawnych przyjaciółkach Joanny, potem rozmowa zeszła na sprawy damsko-męskie i nagle Joanna powiedziała:

– Wiesz, my to chyba głupie jesteśmy...

Zainteresowała mnie ogromnie. Z własną głupoty już się pogodziłam, ale o co jej tym razem chodzi?

– Dlaczego? – zapytałam

– No bo popatrz na te różne, okoliczne baby, żony tych takich różnych. Owinie się taka wokół, wmówi mu, że słaba i bezbronna, i tak całe życie wymaga opieki. A my głupie, niezależne, nikogo nie nabierzemy na słabość i co? Kto ma lepiej?

Natychmiast weszłam w temat:

– Myślisz? Ja bym tak nie mogła, czepia się taki o wszystko, wymaga, ciągle mu coś trzeba tłumaczyć. Dziecko, rozumiem, ale facet?

Joanna pokiwała głowa:

– No tak, masz rację, wychowanie faceta trudniejsze.

Bardzo lubię te rozmowy, znikają między nami różnice lat, w większości poglądy mamy takie same, a niektóre porady Joanny miałabym ochotę wyryć w kamieniu.

Kiedyś moja córka kolejny raz przyszła do domu w stanie zakochania, jęczała, że to na pewno „ten" i pytała, jak go poderwać. Wtedy właśnie zadzwoniła Joanna, wysłuchała, o co chodzi i poradziła Judycie, żeby zaniosła do szkoły szarą torbę z ziemniakami i upuściła pod nogami bóstwa. Powinien się schylić i pozbierać. A może i nabyć nową...

Nie zapomnę wyrazu twarzy mojej córki, która w ogłuszeniu dużym zapytała:

– A po co mi w szkole ziemniaki?

Joanna celuje w takich niesamowitych pomysłach.

Bardzo nie lubiła jednego mojego znajomego, nazywała go brodatą małpą i paroma innymi epitetami go obdarzyła (w dużej mierze słusznymi). Kiedyś zagroziła, że jeśli się z nim spotkam, nie dostanę u niej nawet jednego ziarenka gotowanego bobu.

Przyrzekłam, że nigdy.

Mówiąc szczerze i piekielnie poważnie, ja odpoczywam w świecie Joanny

Chmielewskiej. Najpierw dawały mi to książki, teraz wizyty, rozmowy, nawet te telefoniczne. Joanna ma niesamowitego nosa, wyczuwa nastroje na odległość i zawsze zadzwoni wtedy, kiedy bardzo tego potrzebuje, nakrzyczy na mnie, że się załamuję, udzieli setek rad, każe nie roztkliwiać się i wziąć w garść.

Kiedy słyszę wstęp:

– Wiesz, Martusia, ty głupia jesteś...

robi mi się ciepło na duszy. To się nazywa mieć przyjaciela.

W ubiegłym, najbardziej koszmarnym roku mojego życia, gdy umierała moja mama w Zamościu, Joanna kurierem przysłała mi swoją najnowszą książkę w wydruku komputerowym, żeby choć trochę oderwać mnie od rzeczywistości.

Pomagała i pomaga mi zawsze. Nie wiem, jak się za to odwdzięczę, bo to takie nieprzeliczalne.

Niedawno kupiłam na giełdzie kryminał, którego od lat bezskutecznie szukałyśmy: „Pani w samochodzie, w okularach i ze strzelbą" i natychmiast zdecydowałam, że będzie dla Joanny. Ucieszyła się ogromnie i zaczęła mnie popędzać, żebym szybko z nim przyjechała.

Podzieliła nas kiedyś tylko jedna sprawa.

Przed emisją „Randki z Diabłem", spektaklu Maćka Dutkiewicza, gazety napisały, że to jest teatr Joanny Chmielewskiej, a nie według Joanny Chmielewskiej. Joanna dostała szału, awanturowała się głośno, chciała podać telewizję do sądu. Uspokajałam, tłumaczyłam, że napisali tak z powodów reklamowych, że na planszach początkowych podczas emisji teatru jest już poprawnie napisane. Zawzięła się.

Co ja miałam, rany boskie!

Ona krzyczała na mnie, Redakcja Programu II i Teatru TV też, winna byłam ja i koniec.

Byłam już tym zmęczona i oznajmiłam, że zrzeknę się tych notarialnych praw do książek, miałyśmy odbyć poważna rozmowę.

Ciężko przejęta jechałam do Warszawy, zadzwoniłam domofonem. Dziwnie długo mi nie otwierała, w końcu wdrapałam się na trzecie piętro i tu zastałam niespodziankę.

Stół był uroczyście nakryty, czekali nasi wspólni przyjaciele z otwartym przed chwilą, bardzo drogim szampanem, a Joanna oświadczyła:

– Upiekłam dla ciebie specjalnie kurczaka na ostro, bo nie lubisz z owocami.

I już żadnej poważnej rozmowy nie musiałyśmy przeprowadzać.

Piękna historia zdarzyła się z obrazem Bogdana.

Bogdan to mój przyjaciel, artysta-grafik, ilustrator książek, autor czołówek do moich programów i scenograf naszego serialu.

Namalował kiedyś obraz, portret kobiety, i pożyczył znajomej w Warszawie. No i chciał go potem odzyskać.

Trzeba było przewieźć go do Joanny, a potem do Krakowa.

Okazało się to nie takie proste.

Joanna wisiała na telefonie, próbując umówić się na odbiór rzeczonego obrazu, ale albo nikt nie odbierał, albo terminy nie te, albo jeszcze coś innego.

JOANNA: Epopeja to była ta awantura z panią mecenas, kiedy przez dwie i pół godziny usiłowałam się do niej dodzwonić a ona mówiła, że musi chodzić do toalety. Poradziłam, żeby brała ze sobą telefon...

Pani Chmielewska zacięła się, że wyrwie dzieło pazurami.

W końcu Witek, siostrzeniec pojechał pod wskazany adres, sam bardzo przejęty odpowiedzialnością swojego zadania, wytachał obraz do samochodu i okazało się, że dzieło sztuki jest tak dużych rozmiarów, że nie mieści się normalnie do samochodu. Z zaciśniętymi ustami jechał więc dwadzieścia km na godzinę, z otwartym bagażnikiem, modląc się, aby nie zgubić obrazu. Jakim cudem wniósł go jeszcze na trzecie piętro, nie wiem. Postawił w przedpokoju „twarzą" do ściany i odmówił dalszej współpracy.

Akcja odzyskiwania obrazu była już słynna wśród znajomych, więc natychmiast przylecieli zaciekawieni Lewandowski i Tadzio, i zażądali prezentacji. Walczyli długo, odwracając obraz, w końcu stanęli przed nim i zaczęli prowadzić następujący dialog:

– Marta?

– Nie Marta, za gruba...

– A może Marta, w końcu wizja artystyczna...

– Może i Marta...

I tak dalej. Joanna pokładała się ze śmiechu i mówiła, że jej to do złudzenia przypomina rozmowę dwóch Duńczyków, którzy szukali określenia na owcę (po polsku), co brzmiało mniej więcej tak:

– Koza?

– Nie koza...

– Koza?

– Nie koza...

Wątpliwości rozwiał w końcu sam artysta, który wyjaśnił, że obraz malował w czasie studiów na ASP i pozowała mu jakaś ruda modelka.

Hasło „Marta? Nie Marta? Koza? Nie koza?" przeszło do naszej historii.

Muszę jeszcze dodać, że ja nie odpowiadam za

wszystkie przygody Joanny Chmielewskiej z telewizją, na szczęście.

Pewnego razu Joanna została zaproszona do udziału w jednym z popularniejszych wtedy talk-show, na żywo.

To było duże widowisko. Prowadząca program nie miała chyba specjalnego pojęcia o literaturze Chmielewskiej, ale się bardzo starała nawiązać intelektualny kontakt.

Nawiązała do specyfiki języka i neologizmów.

Joanna siedziała i pęczniała w sobie, oglądałam to z narastającym zainteresowaniem.

Padło pytanie:

– Pani Joanno, co to znaczy „rozdyźdany"?

Joanna (spokojnie):

– Jak się pani rozbije jajko, to jakie jest?

Prowadząca:

– Rozbryzgane..

Joanna (z błyskiem w oku):

– A jak pani w nie wejdzie? (z naciskiem na „pani").

JOANNA: Chodziło mi o połączenie rozbryzganego z rozmazanym...

Długo dochodziłam do siebie po tym programie, Joanna odmówiła komentarzy i, mówiąc jej językiem, obsobaczyła mnie, że jej nie uprzedziłam, w co się pakuje.

Ostatnio pewien recenzent literacki napisał, że książki Chmielewskiej „ociekają brutalnym seksem". Szalenie mnie to zainteresowało, jakoś tak się stało, że uczyniono mnie bohaterka jednej i pół powieści. Wiem, że to dziwnie brzmi, ale tak to wyliczyłam. „Trudny trup" to jedna, a te pół to „Babski motyw". W końcu to ja znalazłam trupa baby na śmietniku, no to jestem w połowie bohaterką, nie?

Za skarby świata nie dopatrzyłam się nigdzie owego brutalnego seksu, nawet trochę żałuję, byłoby co czytać wnukom.

„Trudny trup" to reakcja Joanny na kontakty z telewizją, tam nawet proroczo pojawiły się sylwetki ze świata mediów, goszczące dziś przed Komisją Śledczą.

Skomplikowany nad wyraz utwór, jak i praca w instytucji pt. telewizja, stado afer, ja w tym wszystkim jako żądna prawdy dziennikarka u boku dociekliwej pisarki. Miałam mieć na imię Justysia, ale Joanna powiedziała, że ją to rozprasza, mam być Martusia i koniec. No dobrze. I faktycznie, wszystko się zgadzało, poza wychodzeniem za mąż i marzeniami o garstce dzieci. Za to stworzyła mi postać narzeczonego Bartka i mój dużo młodszy kolega o tym imieniu puchł z dumy i mówił:

– Wszyscy będą myśleli, że to ja!

Nie wiem, z czego się tak żywiołowo cieszył.

Jeśli kiedyś ktoś nakręci film z tej książki, Joanna Chmielewska wystąpi osobiście. No, ja też mogę...

JOANNA: Cha, cha, film o dwóch wariatkach...

Byłam u niej, kiedy pisała „Babski motyw". Bardzo się ucieszyłam, że to ja zobaczyłam tę nieżywą babę, przeczytałam początek i pojechałam do Krakowa.

Za jakiś czas Joanna dzwoni do mnie, relacjonuje rozwiązanie intrygi, w skrócie brzmiało to tak:

– No i słuchaj, ja wracam, opowiadam to tobie i co ty na to?

Ratunku, przecież nie wiedziałam o co chodzi, zrozumiałam tylko, że winowajczyni upiła się okropnie i wszystko wyznała.

Niesamowicie zaciekawiona zapytałam:

– A czym ona się tak załatwiła?

– Pomieszała koniaczek z piwem – wyjaśniła Joanna, a potem dodała:

– No to ja ci potem powiem, co ty na to.

I rozłączyła się.

Te telefony to ja bym chętnie nagrywała, ale nie umiem uruchomić dyktafonu.

Np. ostatnio zadzwoniła i zapytała:

– Odwiedzisz mnie w Tworkach?

Pomyślałam, że tam jakieś piekło lokalne się dzieje i faktycznie: trzy dni bez ciepłej wody, wyjąca klimatyzacja i głupia drukarka (znowu!), która zamiast wyrzucić 2 strony, drukuje 2 x 132 strony.

Joanna:

– Przywieź mi papierosy i białe wino, bo nie wiem, czy w Tworkach dają.

Obiecałam, że przywiozę.

Pewnego razu, wchodząc do domu Joanny Chmielewskiej otarłam się o stan przedzawałowy.

Umówiłyśmy się, że przyjadę. Ok, słoneczny dzień, zatłoczona autostrada, zmęczony upałem pies i najgorszy kawałek drogi od Nadarzyna do Piaseczna.

Po drodze zadzwonił Tadzio Lewandowski z zaproszeniem na obiad. Oni z żoną zawsze się niepokoją, że w domu Joanny Chmielewskiej mogę być ciut głodna. Podziękowałam z wdzięcznością, ale odmówiłam, mówiąc, że jakoś przeżyję. A on niczego mi nie powiedział, nie uprzedził, co mnie czeka.

Zdziwiłam się tylko, że nie dzwoni Joanna, bo ona mnie zawsze kontroluje, gdzie jestem i

kiedy będę.

Podjechałam po dom, brama otwarta, czyjś samochód, otwarte drzwi...

Zabrałam swoje torby i kocyk dla psa, wchodzę i grzecznie mówię:

– Dzień dobry!

Słyszę spokojny głos pana Ryszarda (budowniczy domu i prawa ręka Joanny w załatwieniach czegokolwiek):

– Dzień dobry...

i głos Joanny Chmielewskiej:

– Jak komu.

Wchodzę do salonu. Oni siedzą przy stole, pan Ryszard frontem do mnie, uśmiechający się życzliwie i tyłem Joanna. I ona robi obrót w moją stronę...

Dobrze, że stałam obok ściany, bo niemal się osunęłam po niej na ziemię. Przez głowę przeleciała mi myśl o napadzie!

Głowa Joanny tonęła w bandażach, a w miejscu, gdzie powinien znajdować się nos zobaczyłam żywe mięso.

– Matko boska, co się stało?

– Molestowałam seksualnie Lewandowskiego, a on się bronił – powiedziała niefrasobliwie Joanna. Zorientowałam się, że oni się śmieją, i robią ze mnie balona.

Zażądałam wyjaśnień. Okazało się, że Joanna, karmiąc koty, poślizgnęła się na rybie i upadła. I tak naprawdę, to nic groźnego, nic się nie stało, a to żywe mięso to surowa wołowina, którą właśnie przywiózł pan Ryszard i przyłożył jej na twarz. A bandaż był po to, żeby mięso trzymało się twarzy...

– A ja myślałam, że to twój nos – odetchnęłam z ulgą.

I potem już sama zmieniałam okłady z mięsa na twarzy Joanny Chmielewskiej, co szalenie cieszyło zarówno koty, jak i mojego psa.

I znowu spędzałyśmy czas w ulubiony sposób, gadając, gotując coś tam sobie do żarcia, podlewając ogródek. Zauważyłam, że Joanna jest piekielnie leniwa wobec czegoś, czego nie lubi, na przykład wieszania firanek. Za to w kwestii ogródka dostaje przyśpieszenia niesamowitego i nie mogę nadążyć za nią z tym wężem.

Zabawna przygoda przydarzyła mi się pod sam koniec wizyty. Pakuję się, nalewam wody na drogę dla psa, wynoszę do auta swoje bagaże, żegnam się z Joanną, ona mi zawsze macha sprzed domu i odjeżdżam do Krakowa...

Ujechałam zaledwie parę metrów, kiedy zaczął dzwonić mój telefon. Joanna.

Odbieram, szalenie zaciekawiona, o czym jeszcze zapomniała mi powiedzieć i słyszę:

– Słuchaj, ja cię bardzo przepraszam, ale może jednak oddałabyś mi moje kapcie.

Popatrzyłam na nogi, jasne, jechałam w jej butach, o swoich zapomniawszy całkowicie.

Kiedy zawróciłam i płacząc ze śmiechu zmieniałam obuwie, Joanna dodała:

– Dałabym ci je w prezencie, gdybyś się bardzo uparła, ale dość je lubię, a tobie mogą

być potrzebne te, które zostawiłaś...

Można powiedzieć, że trudno się nudzić z Joanną Chmielewską!

Tak się kiedyś zastanawiałam, co nas łączy, a co dzieli... Starym zwyczajem trzeba podzielić stronę na pół.

ŁĄCZY	DZIELI
miłość do zwierząt	brodatyzm (określenie Joanny)
filmy z Luisem de Funes	stosunek do czosnku
piwo i bób	i do porządku
podejście do mężczyzn	buty
odpowiedzialność	stosunek do ostryg
poczucie humoru	moja chęć do jadania śniadań
roślinki	hazard
brydż	książki historyczne
Agata Christie	zachowanie o poranku
temperament	włosy (chciałabym proste)
poglądy polityczne	*JOANNA: Ty wytrzymujesz na słońcu,*
pracowitość	*a ja nie...*
szybka jazda samochodem	spodnie
kawały	*JOANNA: zwłaszcza te ostatnie, jak u*
odchudzanie	*piłkarzy Dynama Kijów...*
śledzie w oleju	
Czytanie przy jedzeniu	
niewyparzony język	
wiara w św Tadeusza Judę (od spraw beznadziejnych)	

Wyjaśnienie: opowiadałam Joannie, że w Kościele Mariackim jest ołtarz św. Tadeusza Judy i że biegam do niego z różnymi zaskórniakami i ciągle czegoś od niego chcę. Joanna wyjęła 100 złotych i kazała mi wrzucić to w jej tylko znanej intencji. Wróciłam do Krakowa i, szczerze mówiąc, zapomniałam o poleceniu, nawet można powiedzieć, dokonałam malwersacji.

Potem oczywiście gniotły mnie wyrzuty sumienia, zabrałam swoją przyjaciółkę Jolę i poleciałyśmy do Kościoła. Przyklękłyśmy przy ołtarzu i wtedy zadzwonił mój telefon komórkowy. W popłochu usiłowałam go wyłączyć, a Jola krztusiła się ze śmiechu. No i kiedy mój telefon umilkł, zadzwoniła jej komórka. Wszyscy się na nas patrzyli, gdy w pośpiechu wciskałyśmy banknot 100-złotowy do skrzyneczki i niemal biegiem wypadałyśmy na Rynek. Uspokoiłyśmy się dopiero wśród kwiaciarek...

Św. Tadeusz Juda ukarał mnie za zwłokę...

kotlety mielone
gadanie po nocach i dniach
i pewnie jeszcze wiele innych rzeczy...

A jaka ja bym była bez Joanny Chmielewskiej?
Na pozór taka, jak jestem, ale czy na pewno?

Poczucie humoru.

Tak, zawsze je miałam, ale dość utajone na początku. Wychowywano mnie raczej w sposób zasadniczy, w oparciu o wartości, zasady, zakazy i nakazy. To nie było złe, broń Boże, ale na pewno brakowało mi takiego poczucia luzu, lekkości w podejściu do życia, do siebie i do innych. Ważne było to, do czego się dojdzie i w jaki sposób. A więc – nauka, nauka, nauka.

W moim domu kultywowało się prawdziwą historię, ojciec był AK-owcem, który spędził za to kilka lat w więzieniu na Zamku w Lublinie, całe życie słuchał Wolnej Europy i opowiadał mi prawdę o Powstaniu Warszawskim. Czytałam masę poważnych książek i byłam chyba strasznie rozumna. Tak, właśnie, nie umiem przypomnieć sobie elementu szaleństwa w moim dzieciństwie, choć oczywiście uważam go za bardzo szczęśliwy okres w życiu. Przede wszystkim bezpieczny, z czego wtedy nie zdawałam sobie sprawy.

Taka też poważna Martusia poszła na studia do Krakowa i zaczęła odkrywać, że posiada poczucie humoru. Po pierwsze, uzbrojona w książki Chmielewskiej, dawałam sobie radę w nowym otoczeniu, umiałam się bawić na najnudniejszych zajęciach i zdałam nawet egzamin z filozofii marksistowskiej.

Z moja przyjaciółką, Małgosią Gębik prowadziłyśmy przez te lata cudowny dziennik, pełen dialogów prowadzonych na wykładach i przysięgam, że czytany po latach zaskakuje błyskotliwością i humorem. Może go kiedyś wydamy w formie książkowej...

Potem spotkałam Piotra Skrzyneckiego i na krótki, cudowny moment weszłam do „Piwnicy pod Baranami”.

Już wtedy nauczyłam się choć trochę bawić życiem, już mnie tak nie przerażało. Ani małżeństwo, ani macierzyństwo, ani wreszcie praca w telewizji – a to duża sztuka, zwłaszcza

to ostatnie.

No i jeszcze poznałam Joannę Chmielewską...

Ona skutecznie walczy z moimi wadami lub słabościami, z histerią i chwilami z czarnowidztwem, zawsze potrafi odnaleźć element komediowy w tym, co się dzieje.

Kiedyś zadzwoniła w trakcie mojej choroby, miałam akurat zapalenie krtani i gardła, ledwie chrypiałam do słuchawki i wtedy usłyszałam zdecydowane polecenie:

– Zwariowałaś? Natychmiast masz z tym skończyć!

Tak się przejęłam, że szybko skończyłam z przeziębieniem, idąc wreszcie do lekarza.

I tak jest ze wszystkim.

Joanna przekonuje mnie, że przesadna powaga jest niepotrzebna, że życie i tak bywa trudne, więc po co go brać tak strasznie serio?

Faktycznie, dostrzegam teraz elementy komediowe tam, gdzie wcześniej widziałabym problem. Na przykład, złośliwa decyzja dyrektora telewizji o zakazie wprowadzania psów do budynku telewizji budzi już tylko pełen politowania uśmiech, a nie chęć działania. Bo i po co?

Ot, śmieszny człowiek tyle.

Tak, humor w tej pracy jest nieodzownie potrzebny, bez niego trudno by było znieść niektóre kretyńskie decyzje czy, mówiąc wprost, niektórych ludzi.

Jest taki dowcip: Jaka jest różnica między telewizją a domem wariatów? Taka, że w domu wariatów chociaż dyrektor jest normalny.

JOANNA: A ja pamiętam taki dowcip: Jaka jest różnica między radiem a domem wariatów? Taka, że z domu wariatów można iść wszędzie, a z radia tylko do domu wariatów.

No, proszę, znowu mnie kusi temat telewizyjny, a miało być o Joannie, przepraszam bardzo.

Ale to łączy się bardzo z problemem odpowiedzialności i rzetelności. Tak, na ten temat mamy obydwie bzika, wiemy, że jeśli trzeba coś robić, to albo dobrze albo wcale.

Dwa razy skopałam program i do dziś czuję okropny niesmak. Pierwszy raz, to ten słynny strajk sióstr PCK a drugi, to eksperymentalne wydanie „Magazynu Teatralnego". Źle wybrani goście i fatalny prowadzący, znikąd pomocy filmowej, bo konwencja rozmowy i efekt katastrofalny. No i brak czasu, więc emisja. Do dziś się wstydzę.

Ale pamiętam też pierwszy wywiad ze Sławomirem Mrozkiem. Odpowiadał niemal monosylabami i skóra mi cierpła na myśl o montażu. Dźwiękowiec miał przerażoną minę, wszyscy mi współczuli, za to po emisji zbierałam gratulacje. Poprosiłam bowiem pana Janusza Majewskiego o możliwość wykorzystania jego etiudy filmowej „Rondo", z Mrożkiem w roli głównej, i program zrobił się sam. Tak fantastycznie współgrała warstwa dźwiękowa z obrazem, że wywiad stał się małym dokumentem.

Nie zapomnę też pracy nad reportażem z benefisu Stasia Radwana w Starym Teatrze. A miała to być prosta rzecz, dwie kamery, jedna na bliskie plany, druga na dalekie, więc montaż zapowiadał się na trzy godziny. Trwał całą noc, bo operatorom się pomyliło i obaj kręcili z bliska. Ale się udało. O piątej nad ranem wyszliśmy z Jasiem, genialnym montażystą, na korytarz, usiedliśmy na podłodze i zapaliliśmy ostatniego papierosa. I był to najsmaczniejszy papieros w moim życiu.

Joanna ma bardzo złe zdanie na temat telewizji, ja przez parę lat usiłowałam bronić tej instytucji, ale już przestałam. Jakoś trudno teraz mówić o odpowiedzialności i rzetelności, jeżeli zapanowały nowe zwyczaje, nie liczy się profesjonalizm, tylko walka i układy. Na odpowiedzialnych stanowiskach zatrudnia się znajomych królika, bez wiedzy i doświadczenia, a programy robią ludzie dość przypadkowi. Nie generalizuje, oczywiście, tak nie jest wszędzie, ale niestety dość często.

Bardzo dużo rozmawiałyśmy z Joanną na ten temat przy okazji jej książki „Trudny trup", ona była przerażona mechanizmami funkcjonowania telewizji i radziła mi szczerze, żebym zajęła się robieniem filmów, a nie walką podjazdową o zdobycie programu.

I ma rację.

Pod wpływem Joanny przewartościowałam swoje poglądy na temat przyjaźni, może nawet nie tyle poglądy, ile mrzonki.

Zawsze byłam otoczona ludźmi, w swojej naiwności uważałam ich za przyjaciół, pewnie chciałam, aby tak było.

Joanna mówiła, że na przyjaźń trzeba sobie zasłużyć i umieć odpłacać tym samym.

I faktycznie, ostatnie ciężkie lata pokazały po pierwsze – że mam przyjaciół, po drugie – że jest ich niewielu, po trzecie – że mnie też uważają za przyjaciółkę. Wreszcie nauczyłam się to cenić i o to dbać.

Zresztą przekonałam się, że nie lata znajomości gwarantują istnienie przyjaciół. Np. swojego byłego kierownika produkcji uważałam za kogoś bardzo bliskiego, przeżyliśmy razem kupę przygód, podróży, produkcji. I co?

Okazał się koniunkturalistą, kierującym się w życiu tylko myślą o korzyściach, tak, nie ukrywam, że to mój głęboki zawód.

Z kolei wieloletnia i wzajemna niechęć wobec koleżanki z pracy zamieniła się w bliską przyjaźń, wiemy, że możemy na siebie liczyć, co w tym zawodzie dość trudne, rozumiemy się, mamy podobne poczucie humoru i podobne poglądy.

Nauczyłam się też, że nie częstotliwość spotkań jest wyznacznikiem przyjaźni. Z tzw. Rudą Jolą mogę nie rozmawiać nawet tydzień, a i tak wiem, że ona jest, pomaga mi i bardzo dobrze życzy.

O przyjaźni z Joanną już trochę pisałam, więc, żeby się nie powtarzać, dodam tylko, że

jest to naprawdę olbrzymia wartość. Czasem sama już nie wiem, kim ona dla mnie jest – przyjaciółką, kumpelką, trochę matką, opiekunką, wspólniczką przy pracy, gwarantem lojalności i pomocy. Gdybym jej nie poznała, moje życie byłoby dużo bardziej szare i banalne.

Obie też przyjaźnimy się z mężczyznami.

Są tacy, co twierdzą, że prawdziwa przyjaźń między kobietą i mężczyzną jest niemożliwa.

Jest możliwa, gwarantuję. Joanna ma swojego Maćka Krzyżanowskiego, ja mam swego Waldka. Znamy się i przyjaźnimy około 15 lat, kłócimy nieprzytomnie i o programy i o politykę, trzaskamy drzwiami, ale nigdy nie pogniewaliśmy się naprawdę.

Znamienne jest, że podczas trzyletniej dyrekcji Waldka w telewizji, okoliczni znajomi wietrzyli romans między nami, nie wcześniej i nie później, tylko wtedy. Jakby władza była romansogenna...

Romansu między nami nie było nigdy, ale ile radości sprawiały te plotki ludziom.

Ostatnio, podczas jakiejś kolejnej kłótni z Waldkiem zawołam:

– Myślałam, że jesteś moim przyjacielem, a nie świnią!

A Waldek ze spokojem odpowiedział:

– Przecież to na jedno wychodzi...

Przestałam się awanturować natychmiast.

Pozmieniały mi się też poglądy na sprawy damsko-męskie. To zresztą kolejny, bardzo częsty temat naszych rozmów z Joanną.

We wczesnej młodości, po lekturach romantycznych powieści, uważałam, że oto lada dzień na białym koniu przyjedzie po mnie książę z bajki, zabierze do kraju wiecznej szczęśliwości i tak bajka będzie trwać przez całe życie.

Trochę późno zrozumiałam, że ideałów nie ma, że ludzi, mężczyzn także, trzeba próbować zrozumieć, trochę z nimi powalczyć, trochę ich pochwalić, trochę im pomatkować, ale ogólnie należy się pogodzić z faktem, że kobiety są diametralnie inne od mężczyzn i jakoś z tym żyć. Staram się.

Na zakończenie filmu dokumentalnego pt. „Joanna Chmielewska czyli moje wykopane studnie", bohaterka owego oświadczyła:

JOANNA:

– „Niewykluczone, że za dziesięć lat będę piękniejsza, niż obecnie, ponieważ schudnę. Schudnę metodą jogów tybetańskich, którzy stosują ćwiczenia zarazem odmładzające. Mam wielką nadzieję, bo ja jestem optymistka. I, jeżeli za dziesięć lat, po tych jogach (o ile uda mi się przy nich utrzymać), zrobię się o dwadzieścia lat młodsza i piękniejsza, wtedy, proszę

bardzo, zgodzę się na kolejny film, w którym naprawdę nie wiem, co moglibyście wykombinować.”

No, właśnie, niedługo minie te dziesięć lat, Joanna stała się młodsza i piękniejsza (choć nie dzięki jogom, a ostrygom) – no to może już czas pomyśleć o kolejnym filmie?

I nie martw się Joanno, coś wykombinujemy...

JOANNA: I tego się właśnie obawiam, ty miewasz szatańskie pomysły...

Z sekretnego życia JOANNY CHMIELEWSKIEJ

Jak donosi nasz specjalny korespondent, znana polska pisarka, Joanna Chmielewska zmieniła miejsce zamieszkania.

Po wielu latach użytkowania ekskluzywnego apartamentu w centrum Warszawy, na najdroższym trzecim piętrze, z widokiem na targ warzywny, poczytna autorka nabyła ogromną, lekko zmurszałą wiejską posiadłość pod podwarszawskim laskiem.

Nie udało nam się sfotografować owej willi z zewnątrz, ponieważ otacza ją ogromny płot z drewnianych pali i siatki, grożący zawaleniem się w momencie podejścia.

Jak nas nieoficjalnie poinformowano, posesji broni stado specjalnie szkolonych kotów, agresja których została specjalnie ukierunkowana na ewentualną obecność paparazzich.

Naszemu wysłannikowi udało się natomiast przeniknąć do wnętrza domu Joanny Chmielewskiej, oczywiście w doskonałym przebraniu. Uczestniczył nawet w przygotowaniu do wielkiego przyjęcia.

Oto zdjęcie zrobione z ukrycia.

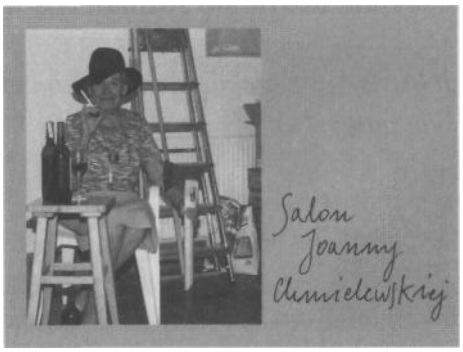

Salon Joanny Chmielewskiej wypełniają, jak widać, najnowocześniejsze meble, sprowadzane specjalnie z Paryża. Ceny takich sprzętów osiągają na światowych aukcjach zawrotne kwoty. Pisarka wynajęła do aranżacji wnętrz najmodniejszego paryskiego stylistę Paula Kitcza.

Widać w tych zamierzeniach ogromny rozmach i lekceważenie kosztów.

Zachwyt budzi pomysłowość dekoratora, jeśli chodzi o symboliczne zgromadzenie elementów dekoracyjnych, jak na przykład: miednica, siekiera, drabina – a wszystko to w oszałamiająco eleganckiej przestrzeni.

Role zwyczajnych obrazów na ścianie przejęły pomysłowo zgromadzone kolorowe pudła, artystycznie udrapowane w centralnym punkcie salonu.

A odwaga w doborze mebli użytkowych!

Ten fantastyczny fotel, budzący zazdrość swoją formą, kolorem, stylem musi pochodzić z jednej z najdroższych paryskich galerii sztuki. I delikatny, dopasowany stylem stoliczek,

idealny do przyjmowania gości.

Naszemu wysłannikowi udało się uchwycić ten subtelny moment oczekiwania na gości. Stół jest przygotowany na przyjęcie. Ach, ten nowoczesny styl picia wina z butelki! Przywędrował do nas z zagranicy i, jak widać, Joanna Chmielewska hołduje tym nowościom tradycyjny kieliszek zachowując tylko dla siebie.

Siekiera w ręce, czy to inna forma chleba i soli?

Ach, ta ekscentryczność pisarki!

I kapelusze na głowie damy naszej literatury zmieniające się wraz ze zmianą poziomu wina w kieliszku.

Niestety, nie dysponujemy dokumentacją fotograficzną z przebiegu przyjęcia.

Jak można się domyśleć, nasz korespondent miał ręce zajęte butelkami z winem i ukończył dokumentację w salonie Joanny Chmielewskiej nad ranem, w stanie uniemożliwiającym nawiązanie służbowego kontaktu.

Z powodu licznych próśb czytelników naszego pisma o publikowanie kolejnych informacji na temat gorszącego życia znanej pisarki, Joanny Chmielewskiej śpieszymy z kolejnymi rewelacjami.

Udało nam się odkryć tajemną pasję autorki poczytnych książek!

Kto by się spodziewał, że ukrywa ona tak bulwersującą tajemnicę.

Już wiemy, jak uwielbia spędzać czas i na co wydaje kolosalne sumy pieniędzy!

Oto dowód fotograficzny, nie budzący żadnych wątpliwości jeśli chodzi o autentyczność zdjęć.

Specjalnie zbudowany tor przeszkód, według wzorów amerykańskich. Jak się dowiedzieliśmy, do tej inwestycji użyto najdroższych materiałów budowlanych.

Zwróćcie Państwo uwagę na rodzaj podłoża, ten bruk został specjalnie sprowadzony z zachodniego Teksasu, charakteryzuje się nieprawdopodobną odpornością i wytrzymałością.

Po co naszej pisarce taki tor przeszkód?

Otóż, sprowadziła ona najnowocześniejszy i najdroższy typ motoru, również z Ameryki, by szaleć na nim bez przeszkód po swoim motocrossie.

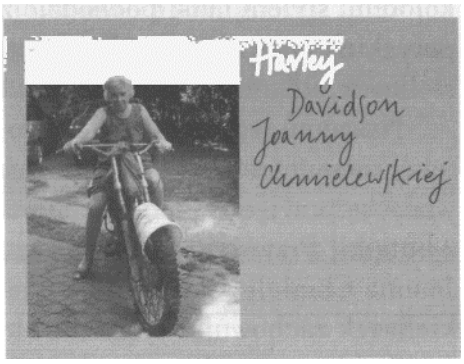

Cóż to za maszyna! Ten nowoczesny, zapierający dech w piersi opływowy kształt, pracowali nad nim najwięksi amerykańscy konstruktorzy, te oryginalne elementy dekoracyjne, te specyficzne kolory, przywodzące na myśl najsłynniejsze produkcje hollywoodzkie. Nic dziwnego, że Joannie Chmielewskiej towarzyszą ogromne ilości gapiów, gdy dosiada swej ukochanej maszyny.

I oto pędzi, pędzi tak, że tylko migają stojące na poboczu samochody!

Nasi informatorzy donoszą, że pisarka pobiła już wiele rekordów i że została zaproszona

do udziału w słynnym motocrossie w Kanionie Kolorado.

Trzymamy kciuki!

Z dobrze poinformowanych źródeł dowiedzieliśmy się, że w modnej podwarszawskiej miejscowości został otwarty najnowszy salon samochodowy pana Witolda G. Ten światowej sławy dealer oferuje miłośnikom motoryzacji najnowsze, dość szokujące nowinki z rynków światowych.

Na otwarciu sklepu zauważono wielu bywalców salonów, artystów, polityków i literatów.

Gościem specjalnej prezentacji była znana polska pisarka, Joanna Chmielewska. O jej miłości do samochodów pisaliśmy już na łamach naszego pisma. Szybkie samochody, udział w wielu rajdach, karkołomne wyścigi po warszawskich ulicach – czym jeszcze zaskoczy nas Joanna Chmielewska?

Otóż, model szybkiego samochodu, który najbardziej zainteresował pisarkę to połączenie olbrzymiego jeepa z autem towarowym (do przewozu zakupów z supermarketu), a także samochodem rodzinno-wycieczkowym.

Z naszych doniesień wynika, że w planach pisarki jest podróż tym szybkim autem do Francji, na wakacje wraz z synem, synową i wnuczką z Kanady.

Wysoko umieszczona kabina kierownicza, szerokie i przestronne wnętrze, jasne, ogromne szyby, dach regulowany automatycznie i tzw. paka. Ileż puszek jedzenia dla kotów, żwirku, chrupek, a nawet ciut-ciut ulubionego pożywienia pisarki może zmieścić się na tej pace!

Pani Joanna głęboko strzeże na razie swojej tajemnicy i nie dziwimy się. Przecież gdyby miłośnicy automobili również nabyli takie pojazdy, jakże ciężko byłoby poruszać się po szerokich warszawskich arteriach.

Zwróćmy też uwagę, z jaka fantazją lansuje pisarka nowy sposób ubierania się do jazdy owym samochodem. Co za oryginalny gust, jakie odważne zestawienia formy i kolorów. Szczególnie podoba nam się wybór obuwia!

Panu Witoldowi G. gratulujemy nowego salonu samochodowego, a pani Joannie życzymy podboju szos – i rodzimych i światowych!

Sezon wakacyjny trwa, plaże zapełnione tłumem spragnionych słońca urlopowiczów i miłośników sportów wodnych.

Udało nam się odkryć, w jaki sposób spędza wakacje znana polska pisarka, Joanna Chmielewska.

Jak się okazuje, uwielbia ona zatłoczone kurorty,

eleganckie plaże i wszelkie luksusy.

Ostatnio przypłynęła swoim jachtem śródziemnomorskim, budząc żywe zainteresowanie i ogromne emocje wśród wypoczywających.

Nie dziwmy się, błyszczący, luksusowy jacht z pełną załogą, usługujący stewardzi w białych garniturach, szampan lejący się strumieniami.

Tak wypoczywają wielcy tego świata! Joanna Chmielewska w najnowszej kreacji letniej słynnego projektanta Pedau'a Homo pozdrawiała dłonią witających ją wielbicieli.

Wielkie emocje budziło zwłaszcza jej oryginalne nakrycie głowy, fantazyjny letni kapelusz w żywych barwach, najnowsze odkrycie sezonu. Ale także kolorowe, powiewne suknie, peniuary, lekkie rękawiczki w wielu kolorach, szale utkane z najdelikatniejszych tkanin i, jak zwykle, piękne sandałki.

Tak, trzeba przyznać, że zadała szyku nasza sławna pisarka na nadmorskich plażach!

Wielu gapiów próbowało podejść niepostrzeżenie i choćby dłonią dotknąć niesamowitego jachtu. Olbrzymi, połyskujący nieskazitelna bielą, pływający dom Joanny Chmielewskiej przemierzył już setki morskich mil, brał udział w wielu regatach, zawijał do setek światowych portów. Jest dumą swojej właścicielki.

Dobrych wiatrów i stopy wody pod kilem, pani Joanno!

Zainteresowaliśmy się ostatnio, jakie pasje mają znani ludzie, czym się zajmują w wolnym czasie, co ich cieszy, zajmuje, pochłania.

Niektórzy zbierają znaczki, inni stare monety, jeszcze inni sami znajdują i czyszczą bursztyn, robią na drutach i wyszywają.

A jaka pasję ma znana pisarka, Joanna Chmielewska?

Długo nie udawało nam się tego wyjaśnić, bo jak wiadomo, starannie strzeże ona swojej prywatności i nie udziela wywiadów.

Nasz reporter dotarł jednak w pobliże posesji Chmielewskiej i odkrył, czym uwielbia się zajmować autorka poczytnych powieści.

Angielski ogród Joanny Chmielewskiej

Otóż skrywana namiętność pisarki to uprawa rzadkich gatunków róż. Zatrudnia ona wielu wykwalifikowanych ogrodników, oni to przekształcili ogród w bajkowe królestwo.

Co za barwy i kształty, jaka różnorodność sprowadzanych z całego świata odmian roślin.

Pisarka uwielbia przechadzać się pomiędzy nimi, wąchać, dotykać, podobno także przemawiać do nich pieszczotliwym tonem. Zawsze o ósmej rano wychodzi, by powiedzieć im „dzień dobry".

A róże to czują, odwdzięczają się feerią barw i falą cudownych zapachów. Ten zapach otacza cały dom Joanny Chmielewskiej, sąsiedzi skarżą się nieśmiało, że trochę ich to dusi,

ale cóż tam, pewnie się nie znają na prawdziwym pięknie i prawdziwych pasjach.

Pani Joanno, proszę pozdrowić róże od czytelników naszego pisma!

przygotowała
Reporterka „Gazety Światowej”
Marta Węgiel
1 kwietnia danego roku

Drugiego kwietnia każdego roku Joanna Chmielewska obchodzi swoje urodziny.

Od pewnego już czasu, w ten właśnie dzień nie może opędzić się od energicznych dziennikarzy, którzy błagają o wywiad albo fotoreportaż.

„Proszę tu stanąć, trochę popozować, oprzeć się łokietkiem o kominek” – opowiada Joanna.

I stąd pomysł owego specyficznego fotoreportażu.

Oto słynna polska pisarka, wściekle ważna w różnych okolicznościach, coś takiego jak:

„Marlon Brando na swoim najnowszym motorze”, „Liz Taylor w swoim nowym letnim domku” i tak dalej.

Tak więc, drobne nieścisłości, które zakradły się do owego fotoreportażu w „Gazecie Światowej” z dnia 1 kwietnia wyjaśniamy dzień później, w rocznicę urodzin Joanny Chmielewskiej.

Co następuje:

1. Rolę salonu w nowym domu pisarki zagrał garaż, przyjęcie w nim się nie odbyło, reporterka zaś spożywała piwo na wygodnych skórzanych kanapach w całkiem innym pomieszczeniu.

2. Super nowoczesny motor, na którym siedzi Joanna Chmielewska należy do zaprzyjaźnionego pana Waldemara w Piaskach nad morzem i tylko on potrafi go uruchomić i za skarby świata nie chce nabyć innego.

3. Salon samochodowy pana Witolda G. nie istnieje, pan Witold jest siostrzeńcem pisarki i pomagał tylko ciotce zwiedzić ciężarówkę, należącą nie wiem właściwie do kogo.

4. Ów śródziemnomorski jacht, czyli rybacki kuter spotkała Joanna podczas swoich samotnych spacerów brzegiem morza, podczas poszukiwania bursztynu i z radością sfotografowała się na jego tle.

5. W ogrodzie Chmielewskiej rosną róże, też, ale nie tylko. Także duże ilości żyta, służącego jako surowiec do artystycznych ozdób, wyrabianych własnoręcznie przez pisarkę. I nie zatrudnia ona całego stada ogrodników. Ale faktycznie, ogródek kocha, może i mówi coś czasami do tych roślinek?

Ciąg dalszy fotoreportażu „Z sekretnego życia Joanny Chmielewskiej” w przygotowaniu...

SŁOWNICZEK CHMIELEWSKI

Wyjaśnienie: to nie są słowa, wymyślone przez Joannę Chmielewską, za to często używane i czasem w odmiennym kontekście. Wyboru dokonałam ja osobiście, Joanna nie przyznaje się do używania niektórych z nich, ale przysięgam, że ostatnio znów przekopałam się przez jej książki i wszystko spisałam zgodnie z prawdą!

Bucefał – stworzenie zdecydowanie antypatyczne,
JOANNA: tak w ogóle, to był koń Aleksandra Wielkiego.

Denna głupota – głupota sięgająca ostatecznego dna,

Do wypęku – określenie granicy cierpliwości,
JOANNA: raczej granica pojemności.

Do wypychu – jak wyżej,
JOANNA: pierwsze słyszę!

Dydolić – czynić pewne wysiłki,
JOANNA: rżnąć tępym narzędziem.

Dziewuszyna – jednostka płci żeńskiej o niezbyt dużym poziomie inteligencji, młoda wiekowo,

Flimon – osobnik co najmniej podejrzany,
JOANNA: takie barachło, niegodzien szacunku.

Ganc pomada – wyrażenie własnego lekceważenia,

JOANNA: inaczej mówiąc: wsio rawno.

Gach – osobnik używany w celach erotycznych,

Gaszyca – osobnica używana jak wyżej,

Głęboko w odwłoku – eleganckie określenie braku zainteresowania sprawa,

Głupy denne – jednostki o zerowym poziomie inteligencji,

Gropa – przedstawicielka płci żeńskiej, przeważnie dużych rozmiarów, nie cechująca się mądrością,

Gzary – nie mam pojęcia, co to jest – Joanno?
JOANNA: To są klamoty, przedmioty uciążliwe w dużej ilości.

Gzygzoły – bazgroły, treść nie do odczytania,

Harpie – jednostki z pasją opanowujące istoty wokół,

Herbata na pomyjach – napój cechujący się specyficznym smakiem, raczej nie do przełknięcia,

Klabzdra – nieporadna jednostka,

Klabzdron – jakieś użytkowe narzędzie,
JOANNA: duże i płaskie, może być element dekoracyjny.

Kurcgalopek – sposób poruszania się drobnymi kroczkami,

Lebiega – odmiana ofiary losu,

Łysy knur – określenie osobnika pozbawionego włosów na czaszce, nie wzbudzającego sympatii,

JOANNA: i wzrostu siedzącego psa.

Margać – wykonywać jakaś czynność, ale nie wiem jaką...
JOANNA: pyskować, mieć pretensje, narzekać,

Mecyje – rzeczy nieożywione o różnym znaczeniu,
JOANNA: to w ogóle jest żydowski przysmak.

Megiera – jednostka ogólnie biorąc wstrętna i odpychająca,

Miąchać – rzucać coś na prawo i lewo,

Na durch – na wylot, na przestrzał,

Na ląfry – rodzaj rozrywek określonego rodzaju,
JOANNA: głównie plotki.

Niemrawiec – osobnik o bardzo powolnym stosunku do życia,

Obrzęchany – coś bardzo zaniedbanego, o dużym stopniu zużytkowania,

O kant tyłka – z dużą dozą lekceważenia potraktować problem,

Osobnica – żeńska odmiana osobnika,

Pierna – rzecz, która po praniu nie wymaga prasowania,

Pirzgnąć – rzucić z dużą siłą, bez potrzeby celowania,

Podfonarzone ślipia – czyli podbite oczy w wyniku działania dużej siły fizycznej,

Podolec – skrzyżowanie podleca z padalcem, nie wymagające tłumaczenia,

Podrywka – efekt czynności zwanej podrywaniem, czyli zwracania na siebie uwagi w celach erotycznych,

Postoły – chyba rodzaj obuwia,

Przydygować – przynieść coś z dużym trudem,

Puścić w trąbę – stracić zainteresowanie erotyczne,

Raszpla – jednostka płci żeńskiej, trudno akceptowalna ze względu na wiek i wygląd,
JOANNA: także rodzaj pilnika...

Rozdyźdany – wyższy stopień niż rozbryzgany, stan trwania czegoś,

Sylfida – jednostka o wymarzonych smukłych kształtach,

Stępory – określenie pewnego typu obuwia,

Szał ciał i uprzęży – szalenie elegancka impreza,

Szmergiel – zaburzenia w funkcjonowaniu mózgu jednostki ludzkiej,
JOANNA: i papier ścierny.

Ślepa komenda – określenie istoty, która ma duże kłopoty z widzeniem,

Uchetany – ktoś, kto prezentuje efekty dużego zmęczenia,

Wądoły – rodzaj ukształtowanie terenu,

Wołoduch – istota o dużych możliwościach konsumpcji,

Won stąd – elegancka prośba o opuszczenie pomieszczenia,

Wymarzeniec – efekt głupawych marzeń o mężczyźnie idealnym, nacechowany rozczarowaniem,

Wyzemdać – gorsza forma estetyczna tzw. wyproszenia,
JOANNA: wybłagania, dokładniej mówiąc.

Zacharapcić – pieszczotliwe określenie zwyczajnego złodziejstwa,

Z przytupem – ujawnienie pozytywnych emocji,

Żerty – osobnik, którego główną przyjemnością życiową jest pochłanianie pożywienia.

SŁOWNICZEK WYRAZÓW WAŻNYCH

Abstynent – chyba bardzo smutny człowiek,

Akuratny – całkiem stosowny, nadający się, może być człowiek...

Baba – jednostka płci jak najbardziej żeńskiej, obdarzona wszelkimi cechami tej płci przynależnymi,

Blondyn – jednostka o jasnych włosach, z niewiadomych powodów podobająca się niektórym,

Broda – ozdoba męskiej twarzy lub, jak twierdzą inni, jej zeszpecenie,

Brunet – jednostka o ciemnych włosach, wiadomo dlaczego podobająca się innym jednostkom,

Brydż – gra w karty i sprawdzian inteligencji,
JOANNA: także charakteru.

Cha, cha, cha – zaśpiew o akcentowaniu bardzo zróżnicowanym,

Cholera – określenie zaraźliwej choroby, a czasem stanu świadomości,

Czosnek – warzywo, nieraz dzielące świat na pół,

Demokracja – stan ducha, kojarzący się z bajką o Królewnie i siedmiu

Krasnoludkach,

Diabeł – osobnik o twarzy kilku znajomych,

Dieta – tak się nazywa głodzenie w świecie eleganckich kobiet,

Dom – miejsce dla szczerych zachowań,
JOANNA: niekiedy miejsce katuszy...

Dzieci – jakość do życia koniecznie potrzebna, acz męcząca,

Dzień dobry – słowa wypowiadane głównie o poranku, a więc dostępne nie dla każdego,

Ekspres do kawy – urządzenie dorównujące ważnością szczoteczce do zębów,

Facet – jednostka z zasady podejrzana,

Fryzjer – osobnik z ogromnym posłannictwem lub bez,

Głupota – zjawisko występujące nagminnie i w olbrzymich rozmiarach,
JOANNA: jedyne, co nie ma granic...

Gówno – jak wyżej,

Grzanka – najszybsza jednostka jedzeniowa w kuchni Joanny Chmielewskiej,

Halka – przedmiot użytkowy, którego nigdy nie mogłam się nauczyć,

Hazard – namiętność podobno opanowująca jestestwo niektórych,

Herbata – napój parzony z niezwykłym nabożeństwem,

Honor – pojęcie czasem zanikające,

JOANNA: dla niektórych pojęcie encyklopedyczne.

Humor – umiejętność opisywania rzeczywistości z przymrużeniem oka,
JOANNA: i umiejętność odbierania rzeczywistości.

Ideał – marzenie ubrane w słowa,
JOANNA: marzenie ubrane w ciało.

Jeleń – zwierzę szlachetne, często obrażane porównaniem z człowiekiem,

Kac – nieprzyjemne samopoczucie po przyjemnym pijaństwie,

Kaloria – złośliwy sprzymierzeniec otyłości,

Kapelusz – nakrycie głowy pozwalające na ujście nagromadzonej fantazji,

Kasyno – miejsce uciech duchowych i finansowych (lub rozpaczy...),

Kawa – napój do życia koniecznie potrzebny,

Kieliszek do wina – rzecz niezbędna w każdym domu,

Klin – coś lub ktoś w zamian, czasem lepszego gatunku,

Kobieta – jednostka cechująca się ogromnym stopniem skomplikowania,

Komunizm – stan społeczeństwa odznaczający się znacznym odmóżdżeniem,

Konie – cudo wielkie,

Kot – zwierzę bardzo niezależne,

Kurczak – danie z różnym nadzieniem,

Leżak – najwygodniejszy mebel świata,
JOANNA: nie cierpię...

Ludzie – bardzo zróżnicowany zbiór z licznymi podzbiorami,

Mafia – pewien podzbiór tegoż właśnie,

Mąż – brak dokładnej definicji zjawiska,

Mężczyzna – jednostka o niewielkim stopniu skomplikowania, patrz – kobieta,

Morderstwo – eliminacja jednostki przez drugą jednostkę,

Nałóg – konieczność czynienia czegoś i to z dużą przyjemnością,

Niebo – ewentualna siedziba wszelkiej szczęśliwości,

Nieboszczyk – podobno przejściowy stan trwania jednostki ludzkiej,

Obcasy – narzędzie tortur dla eleganckich kobiet,

Odchudzanie – marzenie o wbijanie się w ciuchy sprzed roku,

Ogórek kiszony – smaczny wymysł kulinarny,

Ogród – miejsce, w którym można nie zwariować,

Osioł – zwierzę o natężeniu uporu porównywalnego z ludzkim,

Ostryga – istota zjadana żywcem,

Peruka – podwójne, czasem sztuczne owłosienie,

Perfumy – element wabienia płci przeciwnej,

Pies – istota absolutnie doskonała,

Piwo – czasem płyn ustrojowy,

Polityka – temat dyskusji nad ranem,

Pończochy ze szwem – przedmiot, opanowanie którego graniczy z cudem...

Powaga – nieuzasadniona niechęć do śmiechu,
JOANNA: tarcza głupców.

Prasowanie – męka za życia,

Reżyser – człowiek, który często nie wie, czego chce,

Sałatka – forma pożywienia, dająca duże nadzieje (patrz – odchudzanie),

Samochód – przyjaciel człowieka,

Schody – element zawsze utrudniający życie,

Seks – jakość do życia niezbędnie potrzebna,

Serce – organ, który bije, a czasem ma dość,

Skowronek – istota, która wcześnie wstaje,

Smalec – potrawa, która nie wspomaga odchudzania,

Spodnie – element stroju, jeszcze budzący wielkie emocje,

Starość – kategoria, na którą jeszcze nikt nie wyraził zgody,

Suka – żeby tylko chodziło o samice psa...

Synowa – ta, która zabrała dorosłego synka mamusi, ku jego zadowoleniu,

Szef – jednostka, której władza szkodzi,

Śmiech – czynność, wspomagająca odchudzanie,

Święty spokój – marzenie naiwnych,

Telefon – przedmiot użytkowy, niekiedy bardzo drogi,
JOANNA: wymysł szatana.

Telewizja – zjawisko bez komentarza,

Wilk – postać z bajki o telewizji,

Wódka – napój niezbędnie potrzebny do śledzia w oleju,

Zapalniczka – dawne krzesiwo, w różnych kształtach i kolorach,

Zazdrość – cecha niezbywalna,

Zmarszczka – znak upływającego czasu zapisywany na twarzy,

Żona – jednostka podobno uciążliwa w stosowaniu,

Życzliwość – cecha zbywalna,

Żywotność – pragnienie, by przetrwać, na złość innym.

KRÓCIUTKI, BARDZO OSOBISTY PRZEWODNIK PO KSIĄŻKACH JOANNY CHMIELEWSKIEJ

KLIN 1964

Cudowna, urocza powieść (na jej podstawie powstało „Lekarstwo na miłość" w reż. Jana Batorego, z Kaliną Jędrusik i Andrzejem Łapickim w rolach głównych).

Perypetie zakochanej kobiety, pan z pokoju 336, który nie dzwoni i typowy odruch szukania „klina", czyli drugiego faceta, a w konsekwencji uwikłanie się bohaterki w aferę kryminalną. Ogromna doza poczucia humoru, masa wdzięku, lekkość i barwność stylu.

Uwielbiam.

WSZYSCY JESTEŚMY PODEJRZANI 1969

Biuro architektoniczne z lat sześćdziesiątych, główna bohaterka obdarzona niezwykłą wyobraźnią usiłuje napisać powieść kryminalną o morderstwie na koledze z pracy. I fikcja staje się faktem. Tadeusz Stolarek ginie w sposób wymyślony przez Joannę. Pojawiają się przedstawiciele władz i sił pozaziemskich...

Galeria niesamowitych postaci, dowcip sytuacyjny i słowny z tamtych lat, i oczywiście watek uczuciowy pomiędzy bohaterką a Diabłem...

To się da czytać wielokrotnie i nigdy się nie nudzi!

KROKODYL Z KRAJU KAROLINY 1969

Ukochana przyjaciółka Joanny ginie od ciosu ostrym narzędziem, pozostawia jednak wskazówki wiodące na trop międzynarodowej afery. Bohaterka podejmuje śledztwo... w Polsce i w Danii.

Ujawniają się skryte namiętności Joanny do hazardu i do ciągle tego samego Diabła.

A Alicja, jak się okazuje, miała serce z prawej strony...

CAŁE ZDANIE NIEBOSZCZYKA 1972

Najbardziej „światowa" powieść, gdzież ona się nie dzieje!

Dania, Francja, Brazylia, Włochy, oceany i góry – no i oczywiście Polska. Podczas policyjnego nalotu na salon niedozwolonych gier ginie człowiek, umierając przekazuje

Joannie jedno ważne zdanie. Jak się okazuje, jest to zaszyfrowana informacja o miejscu ukrycia ogromnych, nielegalnych pieniędzy. I wiadomo, co się zaczyna dziać! Wszyscy chcą z Joanny wyrwać to zdanie!

No i pościgi samochodowe, rejs jachtem, ucieczka z lochów zamku za pomocą szydełka i naturalnie zawirowania uczuciowe na kilku kontynentach...

Niesamowita fantazja, humor, świetny język i super rozrywka!

LESIO 1973

Moja najukochańsza książka, nie ukrywam. I nawet nie wiem, jak ją zarekomendować.

Przygody uroczego, melancholijnego Lesia, obdarzonego artystyczną duszą i pechem życiowym na tle zwariowanej pracowni architektonicznej, niesamowite pomysły napadu na pociąg czy występów aktorskich – i to wszystko w cudownej otoczce sytuacyjnej z lat sześćdziesiątych, dowcipy słowne, zachowanie śmiesznych realiów i typów charakterologicznych.

Książka ponadczasowa i już!

ZWYCZAJNE ŻYCIE 1974

A tu już pojawiają się urocze nastoletnie bohaterki – Tereska i Okrętka. Zwariowane, szalone dziewczyny, które zaplątują się w aferę kryminalna – długo nie mając o tym pojęcia. Fantastycznie ukazane realia, sposób myślenia nastolatek, ich przeżycia, tok rozumowania, pierwsze miłości i rozczarowania, a wszystko to podane z ogromną lekkością i dowcipem.

Mając dużo więcej lat od tych dziewczyn, dość często wracam do tej powieści. Może to odmładza?

WSZYSTKO CZERWONE 1974

Moja kolejna ukochana książka. Jedno morderstwo i wiele nieudanych zamachów na życie Alicji w Danii, śledztwo prowadzone przez niesamowitego inspektora władającego biblijną polszczyzną, galeria kapitalnych postaci (większość autentyczna) i owa wspaniała Alicja, z jej roztargnieniem i czystą miłością do ludzi. Ogromna międzynarodowa afera i duża niespodzianka przy odkryciu mordercy.

I jaki cudny sos towarzyski.

A zaczęło się od zabitych czerwonych nóg...

ROMANS WSZECHCZASÓW 1975

No i proszę, do czego może dojść, jak się ma romansową naturę!

Joanna zgadza się zastąpić na tydzień nieszczęśliwą Basieńkę w domu jej znienawidzonego męża, jest do niej ogromnie podobna i chce pomóc w romansowych problemach. Mąż podobno nie widuje się ze swoją żoną i na pewno niczego nie zauważy.

Potem się okazuje, że w tym domu zamieszkuje para podstawionych osób, zupełnie sobie obcych, a już teraz uwikłanych w wielką aferę.

No i masa zawirowań i nowy wątek uczuciowy – po Diable pojawia się nowy gach, Marek i zagości w kilku następnych książkach.

WIĘKSZY KAWAŁEK ŚWIATA 1976

Kolejne przygody Tereski i Okrętki – tym razem na wakacjach.

Zdane zupełnie na własne siły dziewczyny muszą sobie poradzić w trudnych warunkach, łowić i przyrządzać ryby, palić ogniska, organizować noclegi. Ale oczywiście znów zaczynają zdarzać się niepokojące wydarzenia. Czy to kolejna afera, którą należy wyjaśnić?

BOCZNE DROGI 1976

Pierwsza „rodzinna" powieść Joanny Chmielewskiej.

Rodzice, dwie ciotki i Joanna podejmują w Polsce Teresę, kuzynkę z Kanady i wożą ją w ramach rozrywki po kraju, szczególnie zaś po bocznych drogach. A za nimi jedzie oczywiście afera... i to sięgająca wojennych czasów.

Humor w portretowaniu członków swojej rodziny, odrobina złośliwości i, jak zwykle, niesamowite przygody podczas podróży – to wszystko sprawia, że trudno rozstać się z tą książką, szczególnie w okresie wakacyjnym.

UPIORNY LEGAT 1977

Znów zaczyna się od morderstwa, tym razem obcego człowieka, który tuż przed śmiercią dzwoni do Joanny...

A tak naprawdę chodzi o drogocenną kolekcję znaczków, oddanych w depozyt, która oczywiście znika. Jednocześnie rozpoczyna się fala napadów na bogatych i raczej nieuczciwych ludzi, a na zachód ktoś przemyca napchane pieniędzmi poduszki... I w tym wszystkim tkwi Joanna...

STUDNIE PRZODKÓW 1979

Ciąg dalszy sagi rodzinnej, znów galeria postaci zwariowanych bab, które tym razem z maniackim uporem rozkopują studnie przodków, w poszukiwaniu ukrytego skarbu.

Jaka tajemnicę odkryje teraz Joanna i blondyn jej życia, Marek, w towarzystwie ciotek?

NAWIEDZONY DOM 1979

Pojawia się kolejna para bohaterów książek Joanny Chmielewskiej – tym razem niezwykłych dzieci, z jeszcze bardziej niezwykłym psem Chabrem. Janeczka i Pawełek są nadzwyczaj rozwinięci intelektualnie i ogromnie ciekawi świata, wszędzie wietrzą ogromne tajemnice, z dużym talentem wpadają też na trop owych, a pies jest mądrzejszy od niejednego

człowieka i ratuje swoich państwa z przeróżnych opresji.

Teraz rodzina bohaterów przeprowadza się do domu, otrzymanego w spadku. Jakie tajemnice on kryje? Chaber powie...

WIELKIE ZASŁUGI 1981

Rodzina państwa Chabrowiczów z ukochanym psem wyjeżdża na wakacje...

I cóż się może zdarzyć w sielskim nadmorskim krajobrazie?

Ktoś rozkopuje groby na starych cmentarzach, dzieci i pies czują się nad wyraz zainteresowane tym zjawiskiem... No i włażą w sam środek niebezpiecznej afery.

Ale wszystko, jak zwykle kończy się dobrze ku zadowoleniu państwa Chabrowiczów. To chyba trudne mieć genialne dzieci.

SKARBY 1988

Tym razem Janeczka i Pawełek doprowadzą do wyjazdu całej rodziny do Algierii, znajdują bowiem skrawek listu, informujący o niesamowitych skarbach tamże. Jak im się to uda? Nie zdradzajmy tajemnicy małoletnich. Czy odnajdą tajemniczy skarb, czy ten, czy całkiem inny?

Cudowne krajobrazy, koloryt lokalny, sylwetki pracujących tam Polaków, zderzenie kultur i obyczajowości, a w wszystko to w atmosferze ogromnej tajemniczości.

Co te dzieci jeszcze wymyśla?

SZAJKA BEZ KOŃCA 1990

Zaczęło się od portretu góralki na desce, a może nie, może jeszcze wcześniej.

Mapa ukrycia wojennych skarbów przemieszcza się niemal po całym świecie, trup kładzie się gęsto, złowieszczy Przemysław rozkochuje i porzuca dziewczyny, Joanna kradnie mikrofilmy, zastępując je zdjęciem swojego zęba...

Co ja jestem winna, że prościej się nie da tego opowiedzieć?

2/3 SUKCESU 1991

Tu znowu pojawiają się genialne dzieci, Janeczka i Pawełek, a wraz z nimi fantastyczny pies Chaber. Tym razem, pod wpływem zamiłowań dziadka, Janeczka zaczyna się interesować zbieraniem znaczków. Od tych zainteresowań już tylko krok do akcji detektywistycznej i rozpracowania poważnej szajki przestępczej...

DZIKIE BIAŁKO 1992

Wszyscy w pracowni architektonicznej (z „Lesia") zwariowali i boją się zatrutego jedzenia, maja hopla na tematy ekologiczne i usiłują odesłać stonkę do Ameryki.

No dobrze, przyznam się, jedyna książka Joanny, za która nie przepadam, ale może się

mylę. Przeczytajcie.

WYŚCIGI 1992

Tutaj wyszła na wierzch prawdziwa dusza Joanny – miłośniczki koni i wyścigów. I tu ja się poddaję – dwie mafie, wołomińska i pruszkowska, machloje na wyścigach, ogromne przekręty, bardzo to skomplikowane. Za to cudne portrety bywalców wyścigów i kapitalne opisy koni. Czuje się prawdziwy miłość autorki do zwierząt!

ŚLEPE SZCZĘŚCIE 1992

Znowu pojawiają się urocze nastolatki, Tereska i Okrętka – i znów dużo się dzieje. Połowy raków, garnek ze starymi monetami, a także – uwaga, najprawdziwszy duch...

I niczego więcej nie zdradzę.

TAJEMNICA 1993

Znów dużo się dzieje – narkotyki, brylanty, przekręty przy pierwszych w nowej Polsce automatach i grach hazardowych, oczywiście kilka morderstw – i pojawienie się kolejnego towarzysza życia głównej bohaterki, Janusza. Ona to ma szczęście do prawdziwych mężczyzn...

WSZELKI WYPADEK 1993

Janeczka i Pawełek wpadają na trop szajki złodziei samochodów. Ale niewiele zdziałaliby bez swojego wspaniałego psa Chabra...

FLORENCJA CÓRKA DIABŁA 1993

Absolutnie genialny koń, znowu afery na wyścigach, tym razem za sprawy ruskiej mafii a porządek z tym wszystkim zaprowadza klacz Florencja, córka Diabła.

Podobno istniała naprawdę, nazywała się Forsycja...

DRUGI WATEK 1993

Siostrzenica, ciemiężona przez ciotkę – potwora, dwa razy popełnione na niej morderstwo, oto i pytanie, stare jak zbrodnia: kto zabił?

Zatrucie grzybami i uderzenie w czaszkę?

I który to będzie ten drugi watek?

ZBIEG OKOLICZNOŚCI 1993

Dwie Joanny Chmielewskie, jedna młodsza, druga starsza, była synowa i była teściowa – a obydwie zaplatane w zbrodnię wspólnego znajomego. Zamienione torby na dworcu, przebranie za Murzynkę, ruiny altanki, wielki przemyt i totalna kołomyja.

Skąd ona bierze pomysły do swoich książek?

JEDEN KIERUNEK RUCHU 1993

Coś przeuroczego – listy zakochanej Skody do swojego właściciela. Skąd taka znajomość kobiecej psychiki, studium zazdrości, tęsknota porzuconej kobiety, porzuconej dla tej ONEJ, tej wrednej i gorszej? Zaraz, przecież chodzi o samochód, tylko czy na pewno?

AUTOBIOGRAFIA 1994 i później

Tak, to już chyba pięć tomów, od dzieciństwa przez wiele młodości do teraz, i tam jest wszystko. Naprawdę wszystko, zdjęcia też, a także kupa znajomych, zabawnych i niezabawnych zdarzeń, intymności i powagi, całe życie Joanny Chmielewskiej.

Podobno napisała to po to, by już nikt nie pytał, skąd ona bierze pomysły do swoich książek. Ciekawe, dlaczego tyle pytań się rodzi po przeczytaniu „Autobiografii"?

PAFNUCY 1994

Cudowny świat lasu i jego mieszkańców – to jakby odbicie świata ludzkiego, z jego małościami i wielkimi przeżyciami. Tytułowy Pafnucy, łagodny i przemiły niedźwiadek przeżywa rozmaite przygody, zawsze chętny do pomocy innym. Razem z przyjaciółmi ratuje nieprzytomnego leśniczego czy też zagubiony dziewczynkę. A potem wpada na śniadanko do wydry Marianny i pożera ogromne ilości łowionych przez nią ryb...

Książka nie tylko dla dzieci, gwarantuje.

Będzie druga część...

LĄDOWANIE W GARWOLINIE 1995

Jak to rekomenduje autorka – powieść realistyczna, do tego science fiction. Nawiązuje do odwiecznych marzeń o poznaniu istot z kosmosu i sprowadzeniu ich na ziemie. Pracownicy pewnej redakcji wpadają na szatański pomysł i oto na rynku w Garwolinie ładuje dziwny pojazd z załogą niesamowicie wyglądających postaci...

Faktycznie dobry pomysł na film...

DUŻA POLKA 1995

Narkotyki, nie narkotyki, diamenty, dwa faszerowane czymś pluszowe misie panda... Morderstwa, napady – wszystko to w Krynicy Morskiej. Mafia z mafią wzięła się za łby...

Cudowny kuzyn Zygmuś: „ulegam-ulegam, jutro-jutro, zobaczymy..."

Przeczytajcie sami.

DWIE GŁOWY I JEDNA NOGA 1996

Niesamowita podróż bohaterki do Paryża na spotkanie odnalezionej po latach wielkiej

młodzieńczej miłości. Ale, oczywiście, po drodze mrożące krew w żyłach przygody, ktoś podrzuca do bagażnika Joanny odciętą głowę kobiety... I podróżują razem...

Oczywiście znów kryminalne afery ale i wspaniała love story po latach...

JAK WYTRZYMAĆ Z MĘŻCZYZNĄ 1996

Czyli co każda kobieta wiedzieć powinna o przedstawicielach odmiennej płci...

Pełne humoru obserwacje psychologiczne i porady, jak się należy zachowywać w różnych określonych sytuacjach życiowych. I dużo prawd o kontaktach międzyludzkich...

JAK WYTRZYMAĆ ZE WSPÓŁCZESNĄ KOBIETA 1996

Jak wyżej – tylko odwrotnie...

WIELKI DIAMENT t. I/II 1996

Losy ogromnego diamentu poprzez wieki – aż do współczesności.

Książka historyczna z wątkami sensacyjnymi, świetnie uchwycone realia i prawda psychologiczna, zabawne przygody i niesamowite zbiegi okoliczności – to wszystko w jednej rodzinie.

Czy diamenty przynoszą szczęście?

KROWA NIEBIAŃSKA 1997

Bohaterka, Elunia obdarzona została przez naturę cechą dość utrudniająca normalne życie – kamienieje w dramatycznych momentach i przez parę sekund nie może się poruszyć...

Poznajemy ją na etapie fascynacji hazardem, co nieuchronnie prowadzi do wplatania się w afery kryminalne i skomplikowanie życia. Jest w tym też oczywiście watek uczuciowy, prowadzący do jeszcze większych perturbacji.

Świetny poradnik dla hazardzisty...

HAZARD 1997

Książka – przewodnik po kasynach i grach hazardowych.

Przyznaje się, że niewiele zrozumiałam, ale ja jestem odporna na tego typu wiedzę...

HARPIE 1998

Trzy ciotki obdarzone trudnymi charakterami i młoda siostrzenica w jednym domu. A w odwiedziny przyjeżdża kolejna krewna z Ameryki, ginie tragicznie pozostawiając duży majątek do podziału...

Bohaterki opisane z duża dozą złośliwości – niektóre przypominają postacie z „Bocznych dróg", niektóre zaś kojarzą się z pewną duńską przyjaciółką Joanny Chmielewskiej...

ZŁOTA MUCHA 1998

Tu wszystko kręci się wokół kolejnej wielkiej namiętności pisarki – czyli bursztynu. Są morderstwa, walki przy wyławianiu kruszcu, oszustwa i wielkie namiętności.

A także osobiste perypetie bohaterki z kolejnymi gachami...

NAJSTARSZA PRAWNUCZKA 1999

Książka absolutnie historyczna, z elementami sensacji. Trup we dworze, zaginiony testament i perypetie najstarszej wnuczki już we współczesności.

Listy i fragmenty starych pamiętników pisane autentycznym językiem tamtych czasów...

DEPOZYT 1999

To duża teczka z naderwanym uchem, wypełniona dolarami i złotem, przekazana na przechowanie przyjacielowi przez przyjaciela. Tylko jeden z nich po wypadku samochodowym cierpi na zanik pamięci a ten, który ukrył skarby, umiera na wylew... Jak odnaleźć skarb?

Zabawna wojna podjazdowa z wdową po zmarłym, humor sytuacyjny i świetne obserwacje psychologiczne.

Kogo tym razem sportretowała Joanna Chmielewska?

PRZEKLĘTA BARIERA 2000

Czy można przekroczyć barierę czasu i przeżyć kawałek swojego życia w dwóch różnych czasach?

Bohaterce tej powieści udaje się coś takiego i w każdym czasie przeżywa niesamowite przygody.

Super sportretowane różnice w mentalności ludzkiej w zależności od momentu historycznego i, jak zawsze, ogromna dawka humoru.

KSIĄŻKA PONIEKĄD KUCHARSKA 2000

Osobiste przepisy i kulinarne zamiłowania pisarki. Co z tego, że jeden z krytyków uznał je za „niejadalne”? Każdy może mieć własne gusta! Tego faszerowanego kurczaka jadłam osobiście i był pyszny.

TRUDNY TRUP 2001

Bardzo skomplikowany utwór, dotykający wnętrza instytucji zwanej telewizja. Afery, morderstwa i machloje osób na wysokich stanowiskach... Oczywiście wszelkie podobieństwa są zupełnie przypadkowe. Mam do tego utworu stosunek osobisty, bo ktoś zbliżony do mnie występuje tam w jednej z ról...

Za to ileż skojarzeń ze współczesnymi aferami z pierwszych stron gazet...

JAK WYTRZYMAĆ ZE SOBĄ NAWZAJEM 2001

Kontynuacja poradników życiowych – tym razem trudny problem współżycia osobników różnej płci. Oj, potrzebny w każdym domu...

(NIE) BOSZCZYK MĄŻ 2002

Zabawne perypetie żony, która usiłuje pozbyć się męża, ale tak, by podejrzenia nie padły na nią... Jakoś jednak nie ma specjalnych talentów w tym kierunku.

Portret kobiety z dużą nadwagą i wielkimi talentami kulinarnymi, a także sugestywne obrazki z życia pewnego trudnego małżeństwa. To też może być poradnik...

PECH 2002

Wraca wreszcie Joanna jako bohaterka powieści.

Motyw wizyty rodziny z zagranicy i podróże po kraju ale też, jak zawsze, wątek kryminalny. Ktoś zamordował dawnego gacha Joanny i podejrzenia padają na nią. Jak pech to pech!

Za to pojawia się kolejny prawdziwy mężczyzna...

BABSKI MOTYW 2003

Ktoś usiłuje zepsuć opinię pani prokurator, podszywając się pod nią i prowokując żenujące sytuacje. To prowadzi do ogromnych kłopotów zawodowych i osobistych Barbary Borkowskiej, która chcąc zmienić swoje życie wyjeżdża, by odpocząć...

Na śmietniku obok domu znanej pisarki Joanny Chmielewskiej znajdujemy trupa Barbary Borkowskiej. Której? I dlaczego?

Joanna Chmielewska prowadzi swoje śledztwo...